REKORD
ŚWIAT KOBIECY

CZASOPISMO POŚWIĘCONE MODZIE I SPRAWOM KOBIECYM

HARLAND

Listy o Modzie

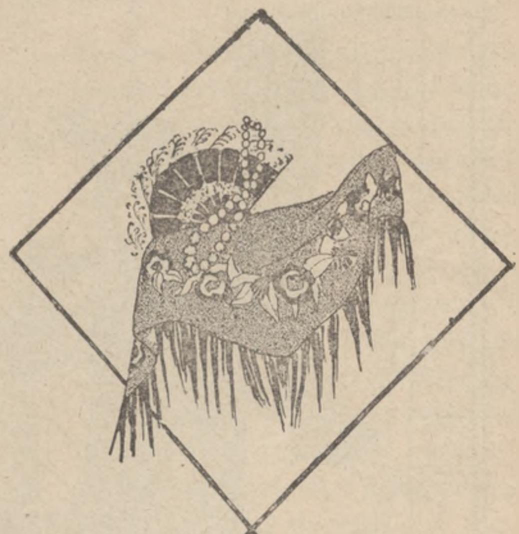


Paryż, w listopadzie 1924

Droga Zosienko!

Nie możesz zorjentować się jeszcze w kierunku Mody i najnowszej sylwetce? Nie dziwię się temu, gdyż nawet Paryżanki, a między niemi wykwintne elegantki, dopiero teraz, po otwarciu pierwszorzędnych salonów mistrzów i mistrzyń nożyc i przeglądzie defilady modelek, wybierają to, co się im podoba, a więc to, co będzie stanowiło istotną „Modę“ całoroczną. Moda bowiem nigdy nie mówi swego ostatniego słowa z początku sezonu; jednakże w ostatnich dniach października i pierwszych dniach listopada można już twierdzić z całą pewnością, jaką jest jej orjentacja oraz co — z wielkiej ilości zaprezentowanych modeli — wybiorą kobiety.

Otóż w tym roku Moda wymaga, bardziej niż kiedykolwiek, linji smukłej i wąskiej do przesady, długiej bez końca i szczupłej, aż do przeraźliwej chudości! Czemże było dawniejsze „wcięcie w pasie“ i „talja osy“ wobec dzisiejszej chudości (gdyż nią jest istotnie owa *sveltesse* tyle sławiona?) Ongiś babki nasze szczyciły się małą ilością centymetrów w pasie, obecnie kobieta — to połowa dawnej kobiety... Żadnych bioder, żadnego biustu, żadnych kości nawet. Francuski dręczą siebie specjalnemi *regime*'ami, głodówkami, masażami, zażywaniem gwałtownych środków odtłuszczających, spacerami po kilkanaście kilometrów — i w rezultacie są istotnie szczupłe wąskie, jak deszczułki, czy patyczki.



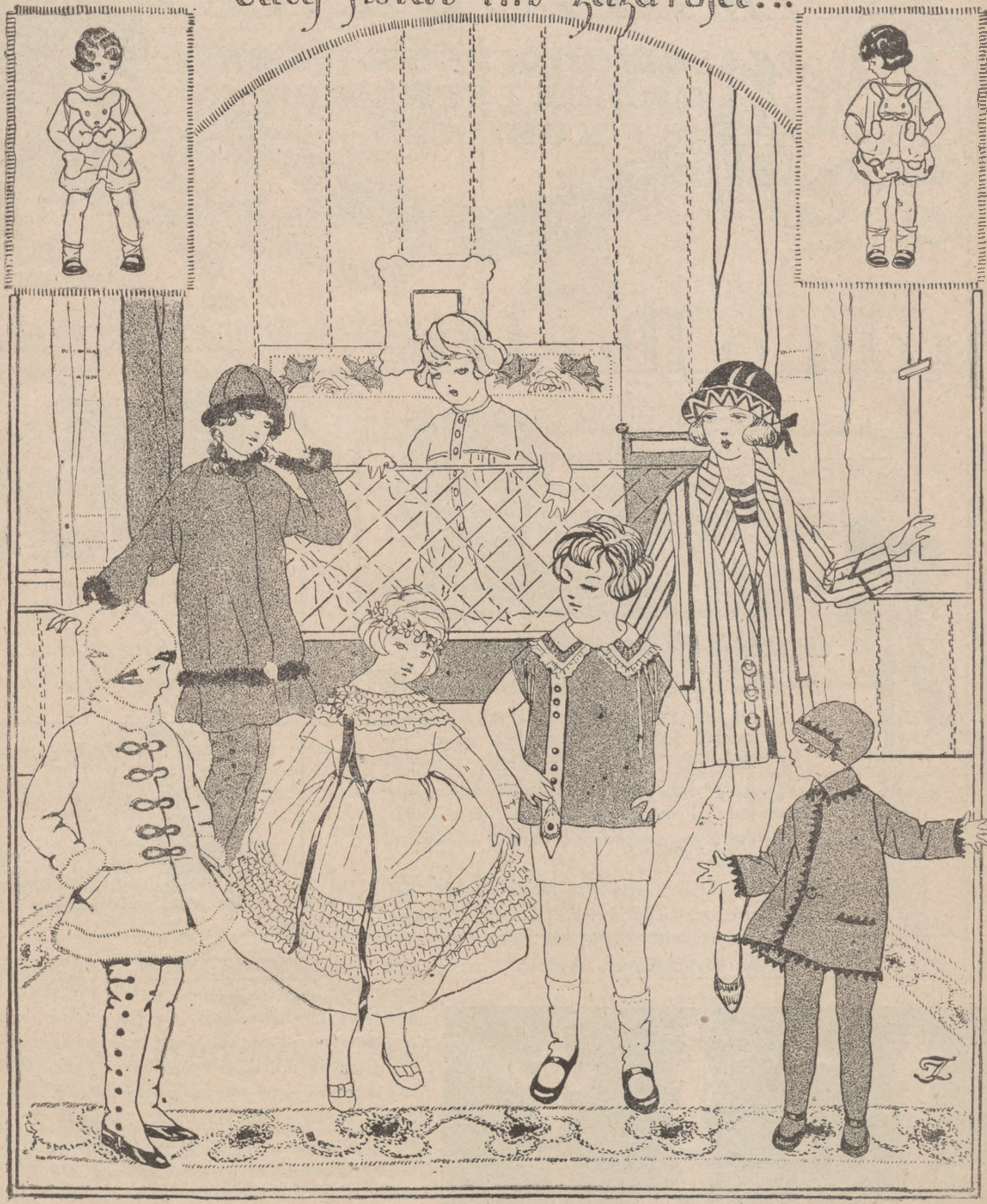
Wpływ hiszpański.



Chustki hiszpańskie noszone jako szale



Krzysia i Jędrek idą na wesele.
Cały świat im zazdrości...





Wpływ 1880 r.
Suknia z tuniką podniesioną dość wysoko i upiętą z boku
Suknia z trzema falbanami. Stan niższy z tyłu, zakończony szarfą



Sylwetkę więc mają modną, ale wygląd małych trupków... Te oczy wpadnięte, uciekające w głąb głowy pod chłopięcą grzywą, cera zżółkła, twarz pokryta siecią drobniutkich zmarszczek przedwczesnych, uszminkowana, usta i powieki pomalowane, nadają im pozór mumji, wydobytych z grobowców egipskich, a wąskość sukien przypomina tembardziej „bandeletki“ z czasów Tutenkhamena... Do takich skutków doprowadził absurd Mody, nakazującej sylwetę bez ciała. Ale Warszawianki, ale Polki, odznaczające się piękną budową ciała i normalnym rozwojem wszystkich jego części, umieją przystosować Modę do siebie. Nie ubiorą się w suknie skrajnie wąskie, wiedzą bowiem, że wyglądałyby w nich jak sosna w worku. Co najwyżej, chcąc wydłużyć figurę, powinny nosić gorset, niezbędny dziś zresztą do każdej modnej sukni. I tobie, Zośko kochana, radzę pomyśleć o takim gorsecie. Jest to raczej opaska na biodra z batystu, brokatu lub dymki, czasem nawet z wstążek. Niektóre panie, pragnące trochę wyszczupleć, noszą pod bielizną, na nagie ciało, opaskę z trykotu gumowego. Przez ciągły ruch następuje jakby lekki masaż, niedopuszczający do osiadania tłuszczu. Dwie pary podwiązek przytrzymują gorset na miejscu. Zaś *soutien-gorge*, napierśnik, trzyma mocno pierś i „ugniatając ją“, czyni ową modną „sylwetkę płaską“. I gorset i napierśnik robione są obecnie na miarę. Napierśnika ugniatającego radzę Ci się wyrzec, natomiast gorset jest niezbędny dla najszczuplejszych nawet, gdyż przy dzisiejszych, tak bardzo przylegających sukniach, przytrzymuje on części ciała ruchome lub podlegające wahaniom, tak niezgadzające się z dzisiejszem pojęciem estetyki i elegancji.



Suknia czarna z żabotem z czerwonej krepy
Druga zwykła o wytwornej prostej linji

Suknie, płaszcze, żakiety są wąskie na biodrach; bluzki, wkładane pod żakiety *tailleurs* tembardziej są jeszcze węższe, zupełnie „przylepione“ do ciała. Spódnica, wąska również dochodzi do pół łydki, zdołu zwężona do ostateczności. Kobieta w dzisiejszej sukni lub kostjumie wygląda istotnie jak zwinięta parasolka w futerale, zaledwie chodzi, stawiając drobne kroczki, nóżka za nóżką. Jeszcze chwila, a któryś z mistrzów mody, np. rewolucjonista w tym kierunku, Paul Poiret, chwyci za nożyce i jednem cięciem rozetnie spódniczkę do kolan,





Les godets z koronki suknie z crêpe de Chine

DIRECTOIRE



Płaszcz w stylu Directoire z 3-ma pelerynkami i kołnierzem otwartym. Pod kołnierzem krawat. Drugi płaszcz w stylu Directoire z szerokiemi ranwersami. Zapięcie umieszczone wysoko

wybawiając biedną niewolnicę mody z opresij. Co dalej? Przecież dalej w tym kierunku już pójść nie można.... Równałoby się to zupełnemu spowinięciu kobiety... Wyżej również uciąć nie sposób, teraz już bowiem spódniczka zaledwie zakrywa kolana... Więc może nowa próba *jupe-culotte* etc.? Przecież spodnie przyjęły się tak dobrze w porannych pyjamach pań... Do jazdy konnej, do sportu — możliwe. Ale



Suknia z sukienka z plisowanym przodem
Płaszcz w stylu Directoire gładki. Ozdobą zapięcie na guziki aż do dołu



na takie zatracenie kobiecości swej wogóle, kobiety się nie zgodzą. Więc może poszerzenie sukien przez wstawienie *godet*'ów i klinów? Jednostajność fasonu znudzi prędko. Pozostaje więc *cloche*, czyli „parasolka rozłożona".

Również ma się ku końcowi i przesadnie niskim stanom, opadającym na kolana prawie. Panowały lat cztery — to mało jak na tak poważny objaw mody. Doświadczenie jednej poważnej krawcowej pouczyło mnie, że zwykle jakaś moda trwa około lat dziesięciu: waha się, zmienia, przeskakuje w drugą ostateczność, zapowiada coś wręcz przeciwnego, ale ostatecznie panuje lat ośm — dziesięć. To samo daje się zauważyć z rękawami. Ileż to razy rzucano



Perły noszą obciśnięte z przodu szyji, a puszczone na plecy, zakończone wstążką lub aksamitką





Żabot z fularu owijający szczelnie szyję a nawet brodę

klątwy na suknie bez rękawów lub z rękawkami króciutkimi, a ostatecznie trwają one nadal.

Obecnie Poiret każe modelom swym, sukniom strojnym, zaczynać się pod pachami dopiero, żeby zaś suknia nie opadała i aby lekko przynajmniej przysłonić biust, na jednem ramieniu daje przepaskę, zakończoną z jednej strony długą frendzlą, opadającą na przedramię, aż do łokcia, z drugiej zaś dającą „oparcie" dla gazy lub koronki, przesłaniającej lekko biust.

Pisałaś mi, że masz już płaszczyk *Directoire* i że bardzo się nim cieszysz. Nic dziwnego, jest to nowość, która nie zdołała jeszcze się „opatrzeć". Wysokiej, smukłej figurce dobrze jest w tych trzech



pelerynkach, wykładanych ranwersach i żabocie. Półcylinder lśniący z piórkami doskonale stosuje się do tego. Zwracam Ci jednak uwagę, kochanie, że w Paryżu cylindry tak się spospolitowały, że obecnie wracają *cloches*, ale z miłem, wywiniętem rondkiem i wysoką, dość sztywną główką. Na popołudnie już ronda są większe, szczególniej na szerokość. Oczy — a przynajmniej jedno z nich — odsłonięte. Woalki noszone do kapeluszy małych.

Nowości widzimy w obuwiu. Buciki są dziś rażącym dysonansem, półbuciki nie istnieją, więc widuje się jedynie trzewiczki i pantofelki. Z lakieru, irchy, brokatów, lamy, jedwabiu. Fason



Suknia wieczorowa z koronki srebrnej, na spodzie z krepy różowej
Suknia wieczorowa z panneaux popielato-srebrnem i pasem haftowanym srebrem i złotem



uległ zmianie. Nie spotyka się tych potwornie wydłużonych dziobów, ale obuwie przybiera bardziej (wreszcie!) kształt nogi. To znaczy fason jest owalny. Nie impertynencko krótki, ale ładnie smukły, przyczem obuwie „do chodzenia“ odznacza się dziobami krótszymi, bardziej zaokrąglonymi, balowe mają nosy bardziej „dystyngowane“, dłuższe. Tak decyduje Paryż. Natomiast słyszałam, że Wiedeń postanowił i nadal cieszyć się długimi w nieskończoność „nosami“ swych wyrobów szewskich, Warszawa zaś poszła za Paryżem, więc i Ty będziesz miała nóżki obute racjonalnie i modnie!

Kochająca Cię ciotka

Paula Ł.





Kostjum tailleurs (do bluzek), kołnierz z lisa
Tunika z krepy białej, haftowanej srebrem, otwarta u dołu i zakończona futrem



DUSZA KOBIECA

PODANIE BUŁGARSKIE

Mroźny, ciemny wieczór zimowy. Nudy wygnały mię z domu i zapędziły w sąsiedztwo do mego sędziwego przyjaciela, który mię kochał, jak własne dziecko. Może nawet bardziej, gdyż nie było życzenia, któregoby mi odmówił, gdy tylko leżało w jego mocy, by je spełnić, podczas gdy dla swych córek nie był zbyt czułym ojcem, a czasami nawet szorstko się z niemi obchodził.

— Opowiedz mi bajkę — proszę starego, który ze swego prawie nieprzebranego zapasu uprzyjemnił mi nie jedną chwilę.

— Nie mam ani chwili czasu, światło mych ócz — opierał się stary, jak to z nieznanych mi bliżej powodów często czynił. — Jutro zaraz po śniadaniu muszę zanieść podatki do Emira, a jeszcze nie przeliczyłem pieniędzy. Idź do dziewcząt — niech ci grają, śpiewają i tańczą.

— Nudzi mię to. Ich pieśni znam już na pamięć. Latifa jest słabą, a bez niej nie ma tańców, a mówić nie można z dziewczętami. Nie pojmuję doprawdy, dlaczego dajecie im wzrastać w waszym kraju w takiem nieuctwie.

— Nauczanie kobiety na nic się nie zdało — potrząsnął stary głową. — Prędzej możesz od Kirgiza kupić konia bez błędu, niż znaleść rozsądną kobietę. Kobieta ma akuratnie dwa razy tyle rozsądku, co zwierzę, a dziesięć razy mniej od mężczyzny...

— Oho! — przerwałam oburzona.

— Nie masz powodu do obrażania się — mrugał do mnie stary, uśmiechając się dobrotliwie, — jesteś wyjątkiem i nie liczysz się. Czy widziałaś kiedy, by muzułmanin jadł z córką niewiernego z jednej miski. Z tobą jednak podzielam mój posiłek i gawędzę, jakgdybyś była mi równą, boś mądrzejszą, niż niejeden mężczyzna“.

— W kobiecie żyje ta sama dusza, lecz wymaga rozwoju, oświecenia światłem wiedzy.

— Nie rozumiem dobrze, co przez to chcesz powiedzieć, ale każdy mężczyzna powinien się wystrzegać pożądać duszy kobiety, gdyż uczyni złą zamianę i sam będzie zgubionym. Historja biednego Mandsura niech ci będzie dowodem tego.

— Nie znam tej historji.

— Więc ci ją opowiem.

Stary był w tym żywiole, w którym go chciałam mieć. Siadłam wygodnie, by słuchać, a on zaczął.

— Na tej ziemi rodzą się szczęśliwi i nieszczęśliwi ludzie. Gdy drzemią jeszcze w łonie matki, jest już ich dola zapisana w księdze przeznaczeń. Nikt zatem nie może wiedzieć, co przyszłość w swej głębi dlań przechowuje, a także Mandsur-Chan nie przeczuwał tego, gdyż ujrzał światło dzienne w najszczęśliwszych warunkach. Gdy dorósł, nie było w całej Bucharze piękniejszego mężczyzny nad niego. Wysoki, smukły, posiadał muskuły jak żelazo, które czyniły go strasznym dla każdego wroga', gdy mówił, zasługiwało każde jego słowo, by je zapisywać w księgach. Był nadto bogatym. Jego szafy były napełnione złotem i kosztownościami, jego stajnie szlachetnymi rumakami o szybkich nogach.

Trzy kobiety żyły w jego haremie, jedna piękniejsza, milsza i czulsza, niż druga. Opływały w dostatki, cieszyły się jednakowymi względami małżonka i powodziło im się tak, jak kwiatom w cienistym ogrodzie.

Emir także wysoce cenił Mandsura. Był on jego zaufanym doradcą, którego obsypywał zaszczytami, godnościami i drogimi dary. Chociaż Mandsur-Chan był jeszcze bardzo młodym człowiekiem, nazywali go jednak starcy „Taksyr“ (pan) i powstawali, gdy się zbliżał.

Pewnego razu urządził Emir wielkie polowanie. W czasie tegoż zauważył nagle, że zapomniał klucze od szafy, w której przechowywał pieczęć państwa.

Przerwać polowanie, które się właśnie odbywało, nie uchodziło ze względu na zaproszonych, szlachetnych gości i tem mniej mógł się książę oddalić, gdyż byłoby to wykroczeniem przeciwko obowiązkom gościnności. Emir polecił tedy Mandsur-Chanowi, by się przekonał, czy pieczęć znajduje się na właściwem miejscu, poczem ma zabrać klucze do siebie.

Mandsur, któremu pochlebiało zaufanie władcy, pospiesznie się oddalił.

Po drodze napoił Mandsur swego konia z małej kałuży, która zawierała tak mało wody, że dla niego, umierającego prawie z pragnienia nic już nie zostało. W tem ujrzał nadchodzącą smukłą postać kobiecą z dzbankiem na głowie. Sądząc po chodzie, musiała być młoda; była jednak ubogo ubrana i gęsty welon okrywał jej lice. Mandsur obawiał się wprawdzie, że ona ucieknie, mimo tego odważył się jednak zawołać na nią i poprosić o napój. Zbliżyła się bez trwogi i podała mu dzban.

— Jesteś odważną — powiedział Mandsur, ugasiwszy pragnienie.

— Życie i los człowieka spoczywają w ręku Allaha — odpowiedziała głosem, który był słodszym, niż śpiew słowika.

Słowa te zastanowiły Mandsura. Od swych żon nie słyszał nigdy czegoś podobnego.

— Czy jesteś tutejszą?

— Tak panie. Jestem córką Mułły i po śmierci ojca żyję z moją matką.

— Nie jesteś mężatką?

— Nie, ale wkrótce nią będę. Mój narzeczony zapłacił już matce dwie trzecie części.

— Ile daje za ciebie?

— Pięćset tenegów.

Z tem odwróciła się, by odejść. Wiatr jednak uniósł właśnie w tej chwili jej welon. Chociaż zaraz ujęła brzeg zasłony i opuściła ją na twarz, jednak Mandsur dosyć widział, by być zachwyconym i przez następne dnie nie myśleć o niczem, tylko o tej dziewczynie. U nas mężczyzna, gdy się mu kobieta podoba, nie namyśla się długo, tylko ją bierze. Tak też i Mandsur uczynił. Tysiącem tenegów uśmierzył skrupuły matki i wprowadził w swe domostwo Aftabę, nie poślubił jej atoli, bo połączenie jednego z pierwszych dygnitarzy państwa z córką biednej wdowy nie byłoby odpowiedniem. Gdy Mandsur ujrzał urocze to stworzenie bez zasłony, ubrane w wspaniałe szaty, zapłonął miłością, dziewczę jednak znosiło tylko całusy i pieszczoty, nie odwzajemniając ich.

— Co ci jest — zapytał.

— Nie kocham cię — odpowiedziała.

— Zabiję cię! — krzyknął dziko.

— Uczyń to — odrzekła obojętnie. — Me ciało kupiłeś... możesz je zmiażdżyć, bo jest twojem. Moja dusza pozostaje moją własnością, — wszystko twe złoto nie okupi jej.

Mandsur odszedł milczący do swych komnat, gdzie popadł w głęboką zadumę. Po długim namyśle postanowił kupić także jej duszę i obsypywał Aftabę podarkami, które ni razu nie rozjaśniły jej twarzy. Odkąd była w jego domu, nigdy się nie uśmiechnęła. Gdy wchodził do haremu, zauważał ze złością nie małą, że wszystkie klejnoty dane Aftabie posiadają jego żony.

— Tak cenisz me dary? — zwrócił się gniewnie do dziewczyny.

— Panie, nie prosiłam cię o nie. Nie chcę i nie potrzebuję niczego od ciebie.

ŚWIAT KOBIECY
(REKORD)
Dodatek do nru 13 r. 1924



6412 6413

Na to stracił cierpliwość. Chwycił batog i uderzał nim z taką siłą, że jej białe plecy sączyły krwią. Stała milcząca, żadnego głosu bolu nie wydały jej usta.

Skruszony, odrzucił bat i przywarł wargami do rany, którą jego ręka zadała.

— Czy nic cię nie zdoła wzruszyć? — jęczał.

— Nie kocham cię — powtórzyła. — Moja dusza nie odczuwa niczego dla ciebie.

— Nie potrzebuję twej duszy! — ryczał Mandsur nieprzytomnie.

— Więc dlaczego mnie bijesz?

Znowu się Mandsur zamyślił i nie mógł zrozumieć, czego on właściwie chce. Była przecież jego, a mimo tego między nimi zionęła przepaść, którą on, choć tak bogaty i możny, niczem zasklepić nie mógł.

W owe czasy żył w Bucharze Hindus, imieniem Muni-Roma, który handlował kością słoniową i drogiemi kamieniami, pożyczał także pieniądze na wysokie procenta, swe główne dochody czerpał jednak ze sztuki czarowania. Gdy kto zachorował, gdy żona spostrzegła, że mąż jej nie kocha już, lub gdy koń nie chciał jeść, udawano się do niego, a on wielu pomógł.

Mandsur-Chan słyszał już dawno o tym człowieku, ale ponieważ go nie potrzebował, nie troszczył się o niego. Ciężkiem było dla dumnego muzułmana tak się upokarzać; pójść do domu niewiernego nie mógł ze względu na komentarze, jakie by to wywołało. Mandsur wymknął się tedy o zmroku cichaczem z domu i okryty szorstką szatą, długo błądził na bezludnym bazarze, nim mu się udało znaleść ów sklep. Na progu stał sam Muni-Rama.

— Chodź za mną, — rzekł Hindus krótko, nie odpowiadając na pozdrowienie gościa, którego poznał mimo przebrania.

Milcząco minęli sklep i wstąpili do małego, przytykającego doń pokoiku, gdzie słaby ogień napełniał tajemniczem, niepewnem światłem małą tę przestrzeń.

— Usiądź — ciągnął dalej czarodziej. — Nie potrzebujesz mi nic mówić, wiem wszystko..

— Gdy wiesz, to pomóż mi, a sowita nagroda cię nie minie.

— Trudno ci poradzić, gdyż nad duszami nie mam władzy. Jeżeli chcesz napoju, który wzbudza namiętność u kobiet, to mogę ci dać taki, z którego dwie krople wystarczą.

— Nie chcę, daj mi jej duszę na własność, uczyń tak, by Aftaba mnie kochała, by jej myśli i czucia do mnie należały, tylko do mnie.

— Kto żąda duszy drugiego, ten musi dać w zamian swą własną.

— Czyż dusza kobiety warta tyle, co moja? — zawołał Mandsur gniewnie.

— Tu nie ma różnicy — rzekł czarodziej. — W sokole i w jaskółce, w mrówce i w wielbłądzie mieszka część wielkiego ducha, który wszystko ożywia. Powtarzam ci, jeżeli chcesz duszę Aftaby, musisz swą własną za nią oddać.

— Dobrze, zgadzam się — zawołał Mandsur stanowczo.

— Czy grasz na tamburze? — zapytał po krótkiej przerwie nagle czarodziej.

— Tak jest.

— Więc słuchaj i zważaj na moje słowa. Zamknę twą duszę w pięciostrunnej tamburze — której dźwiękami przejdzie serce Aftaby. Będzie cię kochała i stanie się twą niewolnicą wierną, ale przestrzegam Cię, bądź ostrożny. Struny są delikatne i rwą się łatwo, a z ostatnią twe życie związane. Zgadzasz się z tem jeszcze?

— Tak, zgadzam się.

Muni-Rama rzucił parę ziół w ogień, który wybuchnął wysoko, a później spokojnie dalej się tlił. Czarodziej mruczał przy tem niezrozumiałe słowa i oczyma, które błyszczały w mroku, jak oczy kota, patrzał ciągle na Mandsura, którego spojrzenie stawało się coraz bardziej mętne i zgaszone. Stracił przytomność, gdyż jego dusza opuściła ciało i weszła do tambury. Gdy Mandsur przyszedł napowrót do świadomości, klęczał przed nim Muni-Rama i podawał mu wspaniałą srebrem i masą perłową inkrustowaną tamburę. Mandsur rzucił czarodziejowi kiesę pełną złota, wziął instrument i oddalił się.

Tego wieczora jeszcze zabrzmiała tambura błagalnie, skarząco, a później radośnie w komnacie Aftaby. Im dłużej grał, tem czulej spoglądała ona na jego coraz bledszą twarz, a on tem namiętniej nie bacząc na ostrożność, uderzał w struny. Pękły już trzy, gdy ona powstała z jedwabnych poduszek, zbliżyła się do niego i uścisnęła go. Zakrzyknął radośnie; w tem pękła czwarta struna, on jednak grał dalej, dopóki i piąta się nie zerwała. Upadł i czuł, jak podczas, gdy cienie śmierci się nad nim rozpościerały, jej wargi wycisnęły pierwszy pocałunek miłosny na jego ustach.

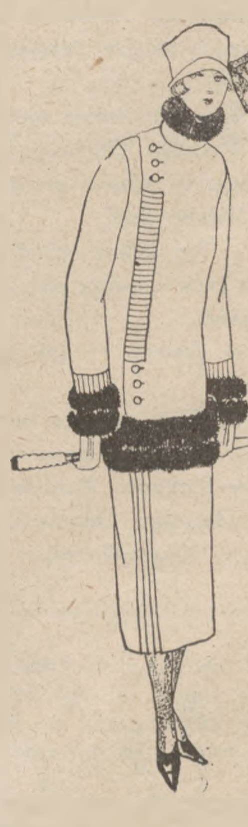
— O zostań — zostań przy mnie! — wołała błagalnie, gdy spostrzegała ze zgrozą, że jej pocałunki już nie ogrzeją tych stygnących ust.

— Nie mogę... umieram, — szeptał ledwie dosłyszalnie.

— Więc podążę za tobą, — rzekła, wyrwała sztylet z jego pasa i przeszyła nim sobie pierś.

— Kocham cię — szepła Aftaba — i dusze tych dwojga uleciały społem.

Spolszczyła B. Baumgartenowa



KĄCIK OBSERWATORA

TRAMWAJ

Do przepełnionego tramwaju wchodzi młoda kobieta i oczyma spłoszonej gazeli rozgląda się za wolnem miejscem. Rozczarowana brakiem jego zrezygnowanym ruchem opiera rękę o rzemyk w górze tramwaju, przyczem smukła jej sylwetka tworzy tak wdzięczny obrazek, że dwóch mężczyzn zajętych ożywioną rozmową urywa ją nagle, by wymienić spojrzenia niemego zachwytu. Poczem jeden z nich zrywa się i dwornym ruchem ofiarowuje jej swoje miejsce.

Dama przyjmuje ten uprzejmy gest z leniwą obojętnością, jako coś bezsprzecznie jej przynależnego, rozsiada się wygodnie, poprawia żakiet, układa fałdy sukni, spogląda do lustra obok, a po uskutecznieniu tych drobnych zabiegów patrzy przed siebie tępym znudzonym wzrokiem. Mężczyzna, który spełnił wobec niej akt uprzejmości, nie istnieje dla niej. Nie zaszczyciła go skinieniem kształtnej główki, ani też piękne usteczka nie wymówiły prostego: dziękuję.

I znów oczy mężczyzn spotkały się, ale tym razem nie było to spojrzenie zachwytu.

No, wiesz — mruknął do ofiarodawcy miejsca jego towarzysz — w takiej nie potrafiłbym się zakochać, choćby to była Wenus kapitolińska!

A. Z.

ALINA BUTRYMOWICZÓWNA

KOCHANKA WARNEŃCZYKA

Dokończenie

— Mniejsza o to, kim jestem. Jestem — *aeternum femininum!* Tęsknoty moje i pragnienia są niezrozumiałe nikomu. Odgrodziłam mą duszę od reszty świata, zamknęłam ją na spusty. Czy zresztą pragnął ją kto poznać? Może mężczyzna? O panie, wiem aż nadto dobrze jakim jest mężczyzna. Zręcznie stworzyłam dla niego surogat, który odpowiadał mu tysiąckrotnie lepiej, jak dusza prawdziwa. Było w tym surogacie wszystko — wszystko sztuczne, lecz zręczne: niewinność i rozpasanie, sentyment i ironja, melancholja i humor szampański, wszystko w miarę potrzeb. Atmosferą, która mi jest równie do życia potrzebna jak powietrze, jest miłość. Miłość dla miłości jak sztuka dla sztuki. Pieszczą mnie różne ramiona; każdemu rzucam coś ze siebie. Zdają się to być przelotne nastroje, a przecież zabierają niepowrotnie część mej istoty. Każde zmysłów rozszalenie, każdą duszy ekstazę można odpokutować chwilową próżnią, nim nowy szał nie błyśnie, — nowe, pełne rozkoszy omdlenie.

— Szukam ciągle... Smutna rola!

Nazywają mnie erotomanką. Mówią, że jestem złą i przewrotną. Ci sami, od których, przeżywszy wczoraj kolorową chwilę, odchodzę bez żalu. Nie rozumieją, że szukam ciągle. Pragnę uniesienia nadludzkiego, zachwytu dwu dusz, zespolonych czarodziejskiem zaklęciem, pieszczot, wobec jakich milczą najsubtelniejsze wyrafinowania... i nie mogę tego znaleźć. Staję się coraz okrutniejsza dla kochanków i dla samej siebie. Bo nie mogę ukoić tęsknoty, która ze słodkiej trucizny zamienia się zwolna w piołunową gorycz...

Kochankowie moi... Nie warto o nich mówić!

Rzuciłam wszystkich dla ich marności. I dzisiaj wiem, że nie znajdę między żywymi tego, kto zaspokoi mą nieukojoną tęsknotę....

Więc ukochałam tego!...

Wskazała Warneńczyka. Chwila milczenia. — Czy okaz patalogiczny miałem przed sobą?

Mówiła dalej.

— Był piękny i młody, a waleczna krew kniaziów płynęła w jego żyłach.

— Jestem — jak on, Litwinką...

— Widziałam to wszystko, czuję... Modliłam się u stóp posążków Perkuna. Wajdeloci śpiewali, wieszcząc. Odprawiał ofiary olbrzymi Krewe-Krewejte. Wykołysały mnie bory... Potem byłam na dworze Jagiellonów. Daremnie polscy rycerze, kniaziowie litewscy i ruscy bojarowie ubiegali się o moje względy.

Namiętna dusza niedawnej poganki znalazła sobie bóstwo. Królewicz Władysław.

... Jakie parne były noce w komnatce panieńskiej... Ciało prężyło się daremnie, ręce rwały złote warkocze, a usta wołały w próżnię: Królu, królu!...

Ale król nie miał czasu na miłość. Przygotowywał świętą wojnę. Oczyma dalekiemi widział pole przyszłej rozprawy, i jakby przeczuwając śmierć bliską, nie należał już do świata.

Daremno ubierałam kosztowne szatki. Giezła me były cieńsze od mgły... Trefione włosy wydawały woń cudną. Piękność ma doszła zenitu. Rycerze bledli na mój widok. Tylko król mnie nie widział.

Wtedy go przeklęłam! Ulepioną z chleba kukłę rzuciłam w ogień. Niech goreje, jak ja, niech się spala w trawiącym żarze.

Król poszedł na krucjatę i zginął, jak tego chciałam. Ale miłość nie zginęła.

Towarzyszy mi przez wieki. Za to, żem śmiała bluźnić memu ukochaniu i śmierci mu życzyć — miłość ma jest nieśmiertelna.

Wstała i podeszła ku grobowcowi. Szedłem za nią, nie wiedząc, co myśleć o całej przygodzie. Oczy jej urzeczone zawisły znowu na kamiennej twarzy. Ręce kaleczyły się o kratę.

— Pragnę wiecznie pochylić się nad nim nisko, nisko. Ucałować usta, zawsze niedosiężne. Może mój wieczysty płomień wróci mu na chwilę życie. Kamienne powieki drgną i spojrzą raz na mnie oczy gwiaździste. Rozchylą się pod mojemi usta tego, który przed wiekami nie miał czasu na miłość.

Po chwili oczy niesamowitej istoty spojrzały na mnie z zagadkowym uśmiechem.

— Żegnam pana. Odchodzę. Proszę się nie zastanawiać nad memi słowami. A nuż to wszystko... deklamacja?

Odeszła cichemi krokami. Zamknęły się ciężkie drzwi, — byłem sam.

Popatrzyłem na... niego.

Leżał spokojny i zimny, trzymając miecz w ciemnych rękach. Daleką była od niego wszelka ziemska namiętność.

Nie miał na miłość czasu.



Jeżeli chcesz sobie życie uprzyjemnić, myśl o zaletach tych, którzy cię otaczają, a staraj się wyrozumieć ich wady

Probierzem charakteru mężczyzny jest jego praca... tak jak miarą wartości moralnej kobiety jest rodzaj miłości jaką wzbudza w mężczyźnie

WYSTAWA LEGJONÓW POLSKICH

W gmachu krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych urządzono staraniem tutejszego oddziału Związku Legjonistów pierwszą Wystawę Legjonów Polskich.

Bez względu na to, jak kiedyś historja osądzi rolę legjonów w największym, jaki świat pamięta kataklizmie dziejowym, bez względu na sprzeczność opinji, panujących dziś w społeczeństwie, z których jedna uważa czyn legjonowy za „dziecinne szaleństwo“, druga za owoc nakazu polskiej racji stanu, bez względu na głuchą niechęć jednych a entuzjastyczną sympatję drugich, każdy, najobojętniejszy nawet człowiek, wchodzący na wystawę musi w milczeuiu schylić głowę przed tą tak „dziwnie osobliwą“ mnogością zawieszonych na ścianach płócien.

Wszystkie one bowiem, czy to malowane najbardziej mistrzowską otuchą wytrawnego artysty, czy kreślone amatorską raczej ręką rysownika, noszą na sobie niezatarte znamię ukochania Idei, z której zrodził się wielki orężny Czyn, Czyn, o który wołała jeszcze przed dziesiątkami lat bolesna „Polonja“ Malczewskiego, Czyn, do którego później coraz gwałtowniej, coraz natarczywiej wzywały: „Wyzwolenie“, „Akropol“, „Noc listopadowa“, „Legjon“ Wyspiańskiego.

Zebrane na wystawie obrazy i rzeźby znaczone są serdeczną krwią polską, która olbrzymiemi strugami przelała się pod Rafajłową i Mokotowem, nad Stochodem i nad Styrem; dźwięczą one surmą bojową, która szarych żołnierzyków naszych, jak ongiś skrzydlatych husarzy, wiodła w bohaterski bój „dla Ciebie Polsko i dla Twojej chwały“.

Trudno jest w łamach krótkiej korespondencji kusić się na omówienie poszczególnych eksponatów; jest ich bowiem zgórą trzysta. O wartości wystawionych dzieł niech świadczą nazwiska ich twórców, takie jak: Fałat, Rozwadowski, Gottlieb, Sichulski, Wyczółkowski, Janowski, Pinkas, Wodzinowski, Skotnicki, Żelazowski, Uziębło, Gumowski i wielu, wielu innych. Wszyscy oni w pamiętnej chwili dziejowej pod nakazem silniejszego nad wszystko głosu wewnętrznego zapału i gorączkowej wkoło atmosfery rzucili zacisza swych pracowni i poszli na pole walki, że zaś nie przestali być artystami, więc tworzyli i w rowach strzeleckich i niejednokrotnie pod gradem kul nieprzyjacielskich, udowadniając tem istnienie ścisłego związku sztuki polskiej z najistotniejszem życiem narodu i wzajemne ich na siebie oddziaływanie.

W ten sposób powstały: Fałata pełne tajemniczej grozy „Ognisko obozowe na Wołyniu“, Wyczółkowskiego „Wspomnienia z Legjonów“, 19 autolitografji, stanowiących studja terenu bojowego walk Legjonów, kreślonych z mistrzowską techniką, Rozwadowskiego przepyszne akwarele, na których obok znanych legjonowych postaci widnieją tak niezrównane i z taką pasją malowane przez artystę konie, dalej Janowskiego rozmaite nastrojowe cmentarze i groby poległych, Gottlieba charakterystyczne typy legunów, Czechowskiego sceny z życia obozowego, Maszkowskiego realistyczne studja, Rembowskiego portrety itd. itd. Wśród skończonych pod względem formy portretów, jakoteż wśród doraźnie kreślonych szkiców i dorywczych notat jawi się mnóstwo razy ukochana przez swych żołnierzy postać komendanta Piłsudskiego, rozmaicie indywidualnie przedstawiona.

Z pomiędzy prac, wykonywanych poza linją bojową a przepojonych treścią przeżywanych dziejów, na pierwszy plan wysuwają się dzieła Jacka Malczewskiego; jego twórczość o symbolicznem zabarwieniu wypowiedziała się tu na temat czynów polskiego żołnierza. Niezapomniane wprost wrażenie wywołuje Malczewskiego „Nike“: na pierwszym planie postać uskrzydlonej najczystszej bogini wojny, imperatywnym ruchem prowadzącej do boju, na drugim planie z zieleni pól wysuwający się rząd żołnierzy, ze strzelbami złożonemi do strzału...

Interesującej wystawy dopełniają rzeźby, medaljony i plakiety Chodzińskiego, Laszczki, Raszki, Juszczyka i t. d., wreszcie legjonowe odznaki, wydawnictwa, fotografje, dyplomy, odezwy, nalepki, tarcze i inne pamiątki legjonowe.

Niemożna naprawdę oglądać tej wystawy bez głębokiego wzruszenia.

Kraków w październiku *Zoel*

LISTOPAD

Jak liść jesienny zbłąkany, samotny,
któremu wszystko jedno, gdzie przypadnie,
jednako wita słońca błysk przelotny,
jak i szturm wichru, co gna nim bezwładnie —
tak ja, tym smutkiem smutny, co już kona,
padłem przypadkiem w twe słodkie ramiona.

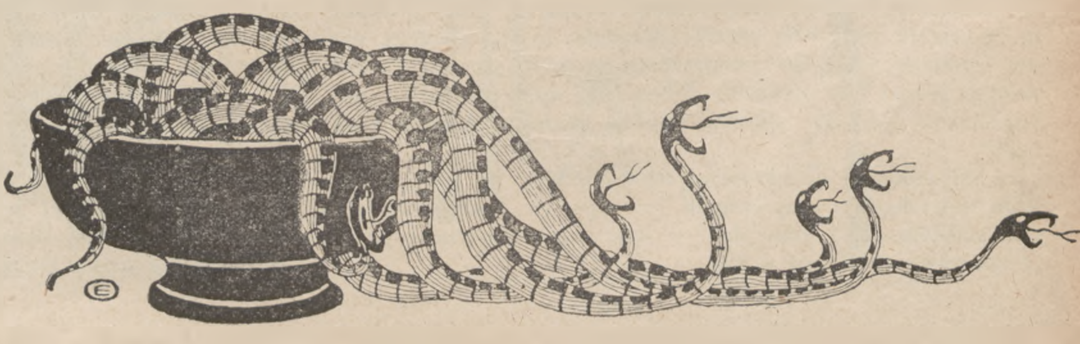
Gzy wiatr, co gniewny w olszynie gdzieś opadł,
wie, czemu zgina oślizgłe konary?
Jest jeden miesiąc, co zwie się listopad,
ten przedostatni w roku, więc już stary,
starością nędzny, chłodny i bez siły...
Wówczas mi rzekłaś: — pomnisz? — „O mój miły!“

Słodycz twych oczu, twego ciała lato
zazieleniły liść zwarzony szronem.
Więc jak wiatr olchę — olcha czeka na to —
przegiąłem ciebie żądzy mojej szponem.
Pierwszy śnieg był nam kwiatów wonnych łanem,
gdyś mnie kochankiem nazwała i panem.

Bo popod śniegiem, co otula miękki
ciepło i cicho ziarno pełne drzemie.
Śnieg roztopiłem żarem mej piosenki —
i rozdrapałem śpiącą, czarną ziemię.
I gdy, co żywe, bez sił w śmierć się słania,
ziarno wykwitło w kwiat twego kochania!

Liście złociste i zżółkłe ścierniska,
babiego lata srebrne pajęczyny,
znów ukazują mi tamto tak zbliska,
że znów przeżywam co dzień, co godziny
nasz cudny romans, miłosne trzy po trzy,
taki, jak innych? O nie, jeszcze słodszy!

TADEUSZ MICHAŁ NITTMAN



KRÓLESTWO SMAKOSZÓW

Każdy Francuz jest smakoszem. Nie żarłokiem, broń Boże, ale smakoszem. I wcale się tego nie wstydzi. Jeśli jedna z najpobożniejszych królowych miała tę wadę... Wprawdzie Marja Leszczyńska wielkie wyrzuty sobie za to czyniła i za grzech poczytywała zamiłowanie do dobrej kuchni, ale z drugiej strony zwierzyła się przyjaciółce, że gdy nie ma się większych przyjemności, dobra i ta.

Wogóle królowie francuscy bardzo żywo zajmowali się sprawą jedzenia. Jedni widzieli wielką jego rolę społeczną, i jak Henryk IV, swój stosunek do poddanych określali takiem życzeniem: „chciałbym, żeby każdy miał w niedzielę „kurę w garnku", inni, egoiści, myśleli tylko o sobie.

Ludwik XV zgadzał się na tym punkcie ze swą małżonką, a mając mniej od niej poczucia godności królewskiej, albo więcej szczerości, nie zadowalał się temi czterdziestu potrawami, które mu kucharz wersalski na stół podawał, ale jeszcze urządzał przyjęcia w swoich prywatnych apartamentach. Z amatorstwem układał menu, którego część sam wykonywał: był specjalistą od naleśników i chlubił się sam, że doskonale robi kaszę. Każdy chce mieć jakiś tytuł do sławy.

Napoleon nie miał czasu na zajmowanie się jedzeniem, wskrzeszając ceremonjał dworski, musiał urządzać wielkie oficjalne obiady, ale nawet wtedy jadł tak prędko, że współbiesiadnicy nadążyć mu nie mogli. Ludwik XVIII powrócił do tradycji swych przodków i tem łatwiej mu to przyszło, że był wielkim amatorem smacznych kąsków. Ustanowił cały szereg urzędników, którzy zajmowali się sprawami kulinarnemi. Miał nawet specjalistę od owoców. Przypadek chciał, że był nim bibljotekarz Instytutu.

Dzisiejsza Francja, zmaterjalizowana, rozkochana w wygodnem i miłem życiu bardzo głośno mówi o wielkiej roli dobrej kuchni. Nowy prezydent rzeczypospolitej witany przez pewne koła bardzo chłodno, zyskał sympatję, gdy dowiedziano się, że lubi styl cesarstwa i — dobre życie. Radość ta była bardzo bezinteresowna, a szczera — poprostu jakby godność państwa przez to zyskiwała, że w pałacu Elizejskim przyjęcia będą ładnie i dobrze obmyślane.

Mówi się u nas dużo o wersalskim sposobie zachowania się Francuzów. Są to już rzeczy przebrzmiałe. Jak Francuz je? Brzydko, stanowczo brzydko. Założy sobie olbrzymią, nierzadko w czerwone kraty serwetę pod szyję, damy, szczególniej starsze też, co wcale pięknie nie wygląda, bo ciężar płótna zatkniętego za wycięcie sukni obciąga i psuje linję. To jest wstęp. Poczem następuje z góry ustanowiony rytuał. Mężczyzna jest tu uprzywilejowany — więc jemu przypadają tak zaszczytne funkcje, jak rozlewanie zupy, przyrządzanie sałaty, krajanie drobiu — (kucharka któregoś z uczonych bohaterów France'a bardzo ubolewa, że pan domu nie korzysta ze swych przywilejów, zbyt wiele myśląc o książkach). Co mu zresztą nie przeszkadza w jedzeniu. Je dużo, powoli, bardzo chętnie, rozmawiając o kuchni, z amatorstwem smakując potrawy, zmiatając bezczelnie wszystko z talerza, a w końcu mocno wycierając go bułką. Francuzi kochają się w sosach i byłby to wielki grzech zostawić kropelkę tego przysmaku na dnie porcelany. Bułki, bo chleba się nie używa, jedzą — na łokcie. W restauracjach każda osoba dostaje wielką jej ilość, i uważa za obowiązek zjeść całą porcję; wszystko je się z bułką, nawet leguminę — tylko cudzoziemcy są tacy śmieszni, że zostawiają nieraz cały kawałek. Patrzy się wtedy na nich z politowaniem, i mówi: „Biedak, będzie głodny, tak mało zjadł bułki".

Śniadanie od obiadu różni się tylko tem, że przy pierwszem są zakąski; przy drugim — zupa — oba jednak posiłki składają się z kilku dań — tak, że w rezultacie je się tu znacznie więcej, niż u nas.

Co jedzą? Potrawy, w których wielką rolę gra nazwa. W domach prywatnych umilają sobie kuchnię bogactwem i różnorodnością tytułów, w restauracji ubiegają się, jedna przed drugą, by zaćmiewać swemi pomysłami, które biednego etranżera o niepokój przyprawiają. I niejednokrotnie psują mu smak całego obiadu.

Jedzenie bez deseru jest dla Paryżanina nie do pomyślenia — bez względu na klasę społeczną, wiek, warunki ekonomiczne — nikt nie wstanie od stołu, by nie przegryźć czegoś słodkiego. W teorji może je ser zastąpić, ale to tylko w teorji. Zabawny jest widok, gdy taki starszy pan ze wstążeczką w butonierce, żąda „mendiants" i dostaje w pudełeczku kilka orzeszków i kilka rodzenków, jak na boisku dziecinnem.

Bardzo lubią, żeby wszystko było słodkie: kawa, czekolada, nawet lekarstwa. Preparaty apteczne robi się na cukrze — osoba chora na serce nie wzięłaby dobroczynnego „Quiex", gdyby to nie był ulopek, a walerjan — uważany jest za najgorszy środek, bo nie ma sposobu osłodzenia go.

Francuzi nietylko lubią jeść, ale chcą, żeby to jedzenie korzyść im przyniosło. Stąd wielką wagę przywiązują do trawienia. Wyraz „digestion" słyszy się wciąż przy stole i nieraz z myślą o nim, to lub owo się spożywa. Jakoś się ta dbałość o żołądek zabawnie łączy ze smakoszostwem. Słyszałam tyradę w obronie melona — ze solą i pieprzem: „Melon jest bardzo dobry, ale trudno strawny, wobec tego trzeba go posypać solą i należycie popieprzyć"... W związku z chęcią, by organizm łatwo i dobrze przyswajał sobie spożyte potrawy, pije się przed jedzeniem różne wódki, mające właściwości lecznicze, tzw. „aperatifs", a po jedzeniu różne „infusions". A więc parzy się kwiat lipowy, miętowy, pomarańczowy, ten ostatni dobry też bardzo na nerwy i pije się to, jak my herbatę, z niezmierną zawsze ilością cukru. Nigdzie, jak we Francji, tak żywą nie utrzymała się tradycja domowej apteczki.

Panowie chodzący do handelków wiedzą, gdzie najlepsza „kiełbasa na widelec", a gdzie kuchnia — pierwsza klasa. Wiadomości te rozchodzą się pocztą pantoflową, we Francji — zajmują się roznoszeniem tych pożytecznych informacyj, prócz specjalnych pism, pisma codzienne, poświęcając im całe rubryki, lub jakiś gościnny kącik. W dzienniku „Comoedia" poważnym organie zajmującym się teatrem, co sobota pod redakcją Polaka, Kurnońskiego, (pisze się Curnonsky) ukazuje się specjalny poradnik dla chcących dobrze zjeść w Paryżu, lub na prowincji. Dział informacyjny zawiera rady i wskazówki co do restauracji — które zalecają się swą niezwykłą dobrocią. Redakcja ręczy za prawdomowność ogłoszeń; zapewne nieraz w nich gościła. Nieomal każda restauracja zachwala coś innego, co jest *„specialité de la maison"*, tu nereczki, tam naleśniki (ulubiona potrawa) specjały kuchni sjońskiej lub bretońskiej — nieporównane pieczyste zjesz w „świątyni kuchni", a jajko *à la provençale* „pod królową gęsią nóżką". Niektóre pisma poprostu: „wykwintna kuchnia mieszczańska", albo „dla smakoszów i uczonych".

Ponieważ podniebienie wymaga ciągłej zmiany, więc „Comoedia" dzieli się ze swymi czytelnikami najnowszym wynalazkiem jakiegoś ciasta, lub nieznanym jeszcze sposobem przyrządzania ryby. — Postęp we Francji, wbrew temu co się zwykle mówi, opiera się na przeszłości, totęż nie brak artykułów z dziedziny historji kulinarnej, bardzo ciekawych i bardzo poważnie zrobionych.

W ogóle nauka i literatura nie pogardzają kuchnią. Menu powieściowe, mogłyby się ukazać u Foyot'a (restauracja, gdzie jadają senatorzy) lub u Poecardi'ego, na Wielkich Bulwarach. U nas, mój Boże, albo bohaterzy mrą z głodu; albo — czego nie muszą zjadać....

Tu, każdy autor jest jednocześnie kucharzem i mistrzem ceremonji. W powieściach francuskich, jak w życiu francuskiem, ciągle się je. Nie ma rozdziału bez obiadu, lub śniadania, życie gorączkowe, brak czasu, usposobienie towarzyskie tego narodu, sprawiają, że najmilej jeść, gdy się rozmawia, lub rozmawiać, gdy się je. A nawet i kochać. Już na pierwszą schadzkę niepewny jeszcze swego szczęścia młodzieniec, przynosi pół magazynu Felixa Potin'a: pasztet, owoce, sardynki, wino, ciastka.

To są widocznie rzeczy o głębszem znaczeniu... Trzeba to kształcić i rozwijać kult jedzenia. „Związek artystów i literatów" urządza odczyty o kompocie, o serach...

Paryż *Aurelja Wyleżyńska*

STRÓJ A ULICA

Ileż uwag na ten temat nastręcza się pod adresem pań każdemu przechodzącemu ulicami miasta, o którejbądź porze dnia.

Zniknęła dyskretna harmonja barw i szlachetny umiar w linjach. Panoszą się zamiast nich krzykliwe, bijące w oczy kolory, godne piękności szczepów dzikich. Przerażają co krok jakieś otyłe damy przybrane w suknie przeznaczone dla podlotków, lub już co najmniej dla smukłych elastycznych sylwetek kobiecych. Obnażają się z beztroskliwą nonszalancją opasłe ramiona, przypominające swemi kształtami raczej uda. Prezentują z rozbrajającą szczerością słoniowate nogi, jednakowej objętości w kostce, co i w łydce, a wciśnięte w wieczorowe, misterne pantofelki (oczywiście o wykrzywionych obcasach) i pajęcze pończoszki. Suną tak po ulicach ociężałym, niezgrabnym krokiem, spętane, umęczone kaprysami mody, przeznaczonej dla innych, zadowolone w swej próżności, a śmieszne dla otoczenia. Czyż nie znajdzie się nikt, z obcych lub najbliższych, kto tym śmiesznym męczennicom „mody" otworzyłby oczy na ich naiwność, nauczył samokrytycyzmu i udowodnił, że nie łudzą co do swych wdzięków nikogo — prócz siebie.

Gdy w obecnych czasach spotka się na ulicy kobietę ubraną odpowiednio do swego typu i do pory dnia, ruszającą się z wdziękiem i umiejącą swobodnie nosić swój strój — wtedy odczuwa człowiek wprost ulgę i radby jej za to dziękować, jak za jakąś wyszukaną radość.

Zniknęło również i poczucie tego co i na którą porę dnia nadaje się do włożenia. Przeszło ono do legendy — wraz z innemi cennemi rzeczami.

Bo i czegóż my widujemy na ulicy w godzinach np. przedpołudniowych.

Kapelusze z rajerami — z strusiemi piórami, o formach dużych, fantastycznych-toczki i zawoje z lamy, z drogocennemi egretami, suknie strojne, przeładowane ozdobami, wybitnie wizytowe — a w niedziele i święta dana jest nam nierzadko sposobność oglądania nawet sukien wieczorowych na ulicy. Pończoszki oczywiście cieniuchne, jedwabne lub gazowe, pantofelki na olbrzymich, karkołomnych obcasach, przeznaczone na wieczór, do tańca lub do sukni balowej. Torebki luksusowe. Co się zaś dzieje w zakresie biżuterji, to przecież wiemy dobrze o tem wszyscy, którzy widujemy o godz. 9 rano brylanty i perły w uszach niektórych dam.

Znam nawet i taki — autentyczny zresztą — dziwoląg z przed paru lat: młoda kobieta w mundurze wojskowym, na nogach pajęcze pończoszki wycięte pantofelki a na głowie — kapelusz z piórem strusiem.

Są to wszystko szczegóły mocno ośmieszające — a przecież znana to prawda, że nic tak nie szkodzi w opinji ludzkiej, jak marka śmieszności.

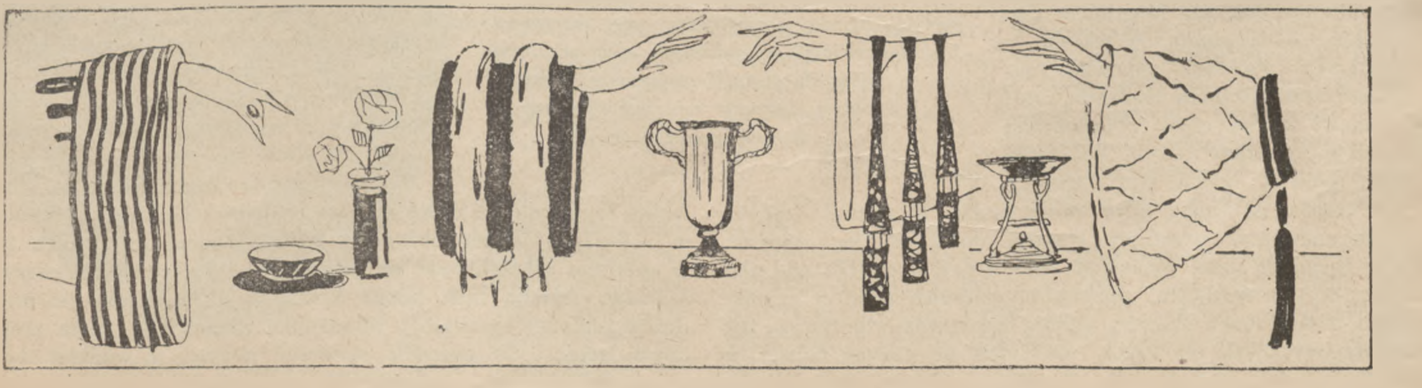
Każdy bowiem odrobinę z europejskiemi zwyczajami obyty człowiek wie dobrze, że na godziny przedpołudniowe obowiązuje kobietę starannie wychowaną strój skromny w barwie i kroju, nie zwracający niczem uwagi. Kostjumy angielskie, sportowe, płaszczyki, kapelusze małe, ozdobione co najwyżej skrzydełkami, wstążką, klamrą lub bardzo nikłą, stonowaną fantazją. Torebki ze skóry lub sukna — rękawiczki umiejętnie dobrane, najpraktyczniejsze ze zamszy do prania, w pięknem wykończeniu sportowem, które są obecnie w dużym wyborze. Półbuciki, albo pantofelki z jednym paskiem, do tego pończochy w dyskretnym odcieniu, mocne nigdy gazowe. Kolor obuwia obojętny byle zharmonizowany z całością, na niskich lub średnio niskich obcasach. Wyłączone jest na tę porę dnia obuwie luksusowe i pajęcze pończoszki. Z biżuterji dopuszczone są jedynie przedmioty niezbędnej potrzeby, jak zegarek i ewentualnie agrafka lub broszka, służąca jako nieodzowne spięcie. Kolczyki muszą być bardzo skromne i nikłe.

Od godziny 5-tej popołudniu, t. j. z rozpoczęciem się wizyt, rendez-vous w cukierniach, kawiarniach itp. można już włożyć nieco strojniejszą toaletę i kapelusz, naturalnie z odpowiedniem uzupełnieniem drobiazgów, jak obuwie, poczochy, torebka i dyskretna biżuterja.

Mniej więcej to samo zestawienie stroju, z jakąś drobną zaledwie odmianą, nadaje się na koncerty, wykłady i do teatru.

Oczywiście odnosi się to wszystko do sfer inteligencji pracującej, do pań nie rozporządzających powozami, autami i lożami. Kobiety tych ostatnich środowisk mogą wkładać do loży pełny wieczorowy strój, a na operę nawet balowy — ale jakże nie na miejscu byłoby coś podobnego u nas np. na fotelach, chociażby nawet pierwszorzędnych.

Mądrą przewodniczką w państwie mody niech będzie niewymuszona prostota. Takie a nie inne stanowisko powinna zająć kobieta-Polka w nowo odradzającem się społeczeństwie. — Wszelki zaś zbytek, przepych i przesadne wybryki pozostawić krzykliwej masie nowowzbogaconych, nieuświadomionych narodowo, dla których zwrócenie na siebie uwagi jest najwyższym szczytem marzeń. *Obserwator*



Teatry

WARSZAWA

Wrzesień-Październik 1924

Nowy sezon teatralny, nowe nadzieje, nowe sztuki, nowe talenty... Zwłaszcza te ostatnie budzą szczere zainteresowanie, gdyż, powiedzmy sobie szczerze, talent dramatyczny jest w Polsce rzadkością. To też z niekłamanem zadowoleniem przyjęła Warszawa do wiadomości, że pogromicielka nędznych powieścideł, znana z dowcipu i ostrego języczka pani Magdalena Samozwaniec — przemówi z desek scenicznych. Niestety, radość trwała krótko... Groteską nazwała pani Samozwaniec swoją „Malowaną żonę". Czyżby w ten sposób zrzucała z siebie poniekąd odpowiedzialność za to, co nam powie?

Biorąc ściśle — „Malowana żona" nie jest groteską. Nie jest właściwie niczem. Jest stekiem doskonałych, dobrych, niesmacznych, nowych i starych dowcipów, luźno powiązanych ze sobą, i napisanych i mówionych tylko po to, „żeby było wesoło". Czy było wesoło? i komu? Pewnie nie przyjaciołom i wielbicielom talentu pani Samozwaniec, do których śmiem zaliczyć i siebie. Od autorki „Na ustach grzechu" spodziewaliśmy się czegoś więcej. Osoba, która tak niezrównanie potrafiła kpić z innych — wobec własnego pióra zgrzeszyła brakiem krytycyzmu. Czyżby w ten sposób zemściły się opiekuńcze bogi na długie lata ośmieszonych przez panią Samozwaniec?

Treść sztuki? Ta da się opowiedzieć w paru słowach. Pani Fela jest żoną malarza, kubisty, który pragnie widzieć w niej jedynie — modelkę, i rysować w kubach; nie dziwmy się więc, że gotowa jest zdradzić go dla mistrza Kwalifikowskiego; ale i mistrz Kwalifikowski ma zamiar — przedewszystkiem malować panią Felę. Więc biedna, „malowana żona" szuka pociechy w objęciach uczciwego sportowca, który nie będzie jej traktował — jak dzieło sztuki. Rzecz, oczywiście, dzieje się w Krakowie, jeden akt na plantach. Na scenie roi się od „krakowskich typów", znanych nam wszystkim od dawna — ale — w lepszem wydaniu! To też nawet świetna gra artystów nie uratowała sytuacji, chociaż śmiało powiedzieć można, że wszystkie role — do najdrobniejszej, grane były bez zarzutu. Panie: Pancewiczowa, Słubicka, Mucingerowa i Czaplińska znalazły godnych siebie partnerów w pp. Grabowskim, Maszyńskim, Orwidzie i Daczyńskim. Jednem słowem — Teatr Mały nie zawiódł, ale Magdalena Samozwaniec — zawiodła. A szkoda.

Teatr Polski zapoznał nas z „Dantonem" Romain Rollanda, który stanowi drugą część rewolucyjnej Trylogji znakomitego autora. Bohaterką sztuki, główną osobą jest Historja. Autor usuwa na dalszy plan swoją osobą, a pozwala mówić Jej. Beznadziejny, straszliwy tragizm unosi się nad ludźmi, którzy rozpętali ślepą nienawiść ludu, a potem stracili nad nim władzę; w tym surowym, pozbawionym tanich efektów dramacie dał nam Romain Rolland galerję niezrównanych typów, tak charakterystycznych dla każdej rewolucji, od czasów rzymskich począwszy, a kończąc na rewolucji bolszewickiej. „Dantona" wystawił Teatr Polski wspaniale. Niepodobna nie podkreślić reżyserskiego wysiłku pana Borowskiego, zwłaszcza w scenach, gdzie musi operować elementem trudnym i niewdzięcznym — tłumem. Zelwerowicz jako Danton i Stanisławski w roli Robespierra stworzyli arcydzieła sztuki aktorskiej; zresztą — każda rola zagrana była inteligentnie i plastycznie.

* * *

W Nowościach (które w tym sezonie są właściwie dawnym Wodewilem, na gruzach dawnych Nowości powstałym) wystawiono operetkę „Hinduska". Autorem muzyki jest jeden z młodszych kompozytorów wiedeńskich p. Granichstädten; muzyka — niezbyt oryginalna, grzeszy sentymentalnością, i jest, jak na operetkę, nazbyt dyskretna. Niepodobna jej jednak odmówić ciekawych pomysłów melodyjnych i doskonałej instrumentacji. Główną rolę gra panna Elna Gistedt. Wiele pisano o wdzięku, zgrabności i t. p. tej miłej Szwedki. Pisano również, że jej zła polska wymowa ma w sobie coś pikantnego. Zdaje mi się, że tej pikanterji mamy dosyć, i byłoby nam o wiele przyjemniej, gdyby pannie Gistedt udało się opanować nasz piękny język. Uważamy również, iż nie jest rzeczą wskazaną dawać urodzonej, uroczej subretce role główne, wymagające o wiele większego głosu. Partnerem jej był pan Dębowski, który szkoda, że tak rzadko występuje. Jest o wieleciekawszy od wiecznie jednakowego pana Mierzejewskiego. Reszta zespołu jak zwykle dobra. Powodzenie kasowe, względne, choć podobno dyrektor Szczawiński się nie skarży.

* * *

Wbrew twierdzeniu pesymistów, uruchomiono Operę, zaś otwarcie Teatru Narodowego nastąpiło w dniu, oznaczonym przez Dyrekcję. Wszystko odbyło się z należytą pompą i uroczystością. „Wyzwolenie" (pierwszy akt) nie stało na wysokości naszych żądań od Teatru Narodowego. Premjera „Mazepy" trwała bardzo długo — to prawda; nawet o wiele za długo. Nie był to jednak powód dostateczny, żeby panowie recenzenci niektórych wpływowych dzienników opuścili widownię przed końcem. Najwięcej zresztą pokrzywdzili tem samych siebie, nie widzieli bowiem cudownej gry Frenkla w akcie ostatnim. Grą tą największy ze współczesnych aktorów polskich dowiódł, że potrafi znaleźć w sobie tony głęboko dramatyczne — czego wolno nam było nie oczekiwać po genjalnym komiku. O ile więc w pierwszych aktach można mu było cośniecoś zarzucić, o tyle w ostatnim rehabilitował się zupełnie w oczach najsurowszych sędziów. Amelją była panna Romanówna (o ile się nie mylę, dobra znajoma Lwowian!) Młodziutka ta artystka miała zrozumiałą tremę i nie potrafiła stworzyć postaci w wielkim stylu.



JERZY LESZCZYŃSKI
wybitny artysta dramatyczny scen warszawskich. Oddziedziczył po rodzicach talent sceniczny, a niezwykłe warunki zewnętrzne i wdzięk osobisty uczyniły zeń ulubieńca wytwornej publiczności

Czyż możemy jednak za wybór ten winić dyrekcję?... Teatr Narodowy nie posiada w swoim zespole Modrzejewskiej. Ponieważ ze znanych artystek żadna nie byłaby idealną Amelją — powierzono tę trudną i odpowiedzialną rolę tej, która umiała ją opromienić niekłamanym wdziękiem młodości. Wspaniały w każdym szczególe był Józef Węgrzyn jako Zbigniew. Kamiński — król i Osterwa — Mazepa pojęli swoje role zbyt realistycznie może. Dekoracje Drabika wprost cudowne! Krytyka warszawska przyjęła „Mazepę" z tysiącem zastrzeżeń, które wywołały ożywione dyskusje i polemiki. Szczupłe ramy moich artykułów nie pozwalają mi ich streścić — choć nie przeczę, że mogłoby to zainteresować moje łaskawe i cierpliwe Czytelniczki!

Drugą z koleji premjerę poświęcił Teatr Narodowy Fredrze. Słowacki — Fredro — przyznacie, że początek ładny i obiecujacy? zwłaszcza, że „Dożywocie" i „Świeczka zgasła" zagrano nietylko bez zarzutu, ale wprost niezrównanie. Tym razem wszystkie prawie role powierzono „starej gwardji", która nie zawiodła oczekiwania i odniosła triumf na całej linji. Pani Pichor Śliwicka i Roland odegrali z niezrównanym wdziękiem „przestarzałą" jednoaktówkę Fredry, dając tem jeszcze jeden dowód, że wystarczy nas oczarować — a z łatwością zamienimy się w najzapaleńszych „Fredrystów". „Dożywocie" reżyserował dyr. Solski i prześcignął sam siebie w roli Łatki. Łatka jest naprawdę jednem z arcydzieł tego wielkiego aktora! Orgona grał Chmieliński, dając wspaniałą postać prostodusznego szlachcica. Umiar i szczerość — cudowna dykcja — oto broń, którą pobił nas wczoraj Chmieliński. Resztę pochwał i niemilknących oklasków rozdzielić należy między p. Bednarczyka, Śliwickiego i miłą pannę Linderfównę.

Poświęciłam tak wiele miejsca Teatrowi Narodowemu, że muszę do następnego numeru odłożyć omówienie sztuki pani Pawlikowskiej i ostatniej farsy w „Letnim". Nie mogę natomiast nie wspomnieć słówka choćby o „Hrabinie Maricy", która pewnie na długo zagości w „Nowościach", a napewno będzie miała powodzenie prawie takie jak „Czardaszka" i „Bajadera". Zasługa to głównie doskonałej muzyki Kalmana, bogactwu jego pomysłów melodyjnych, instrumentowanych ciekawie z talentem i umiejętnością. Wykonawców znalazł Kalman świetnych w pani Niewiarowskiej i panach Redo, Szczawińskim i Krzewińskim. Stroje — zwłaszcza bohaterki — wspaniałe, balet bez zarzutu — czegoż wymagać więcej od operetki, której celem jest dać nam garść wzruszeń wesołych, estetycznych i — ale to już sobie dopowiecie sami. *Z. P.*



ELNA GISTEDT ulubienica Warszawy

KRAKÓW

Listopad 1924

Ostatnią korespondencję poświęciłam teatrowi m. im. Słowackiego; dziś chcę powiedzieć Wam słów kilka o drugim cieszącym się ogólną sympatją w Krakowie tearze — tj. o „Bagateli".



ZOFJA DOBRZAŃSKA artystka teatru „Bagatela"

Wierny swojemu założeniu daje nam teatr „Bagatela" repertuar lekki i pogodny; jeżeli tu i ówdzie zjawi się w nim czasami łezka melancholji i zaplącze doń skądciś cień smutku, to pierzchają one szybko jak przelotna mgiełka, rozproszone szczerym niefrasobliwym śmiechem, którym śmieją się sami autorzy sztuk, wraz z nimi wykonawcy ról, a przedewszystkiem publiczność. Śmieliśmy się więc „od serca", jak za dawnych dobrych czasów na „Domu otwartym" Bałuckiego, którym „Bagatela" otworzyła swój tegoroczny sezon. Był to naprawdę przemiły wieczór, dający niezbity dowód, że nawet powojenna publiczność, zepsuta pieprznemi farsidłami francuskiemi i senzacją kinową, potrafi bawić się dawnym zdrowym repertuarem, byle podano go w odpowiedniej formie. Forma zaś, w której „Bagatela" podała „Dom otwarty", była istotnie pierwszorzędna, Zasługa w tem główna znakomitego reżysera p. Juljana Dobrzańskiego, który po rocznym pobycie w warszawskich „Rozmaitościach" powróciwszy na deski „Bagateli" potrafił umiejętnem podkreśleniem momentów groteskowych i nadaniem odpowiedniego tempa całości wydobyć ze sztuki całe po dziś dzień tkwiące w niej życie. Nietylko jednak jako reżyser zbierał p. Dobrzański zasłużone oklaski, lecz i jako odtwórca roli „skończonego farmaceuty" Fujarkiewicza, który swą charakteryzacją, tańcem, każdym ruchem, każdem odezwaniem się, wywoływał burzę oklasków na widowni. Galerję zabawnych typów obok p. Dobrzańskiego stworzyli: doskonały w rozmachu i werwie Fikalski — p. Kwiatkowski, pełen pogodnego humoru pułkownik Telesfor — p. Zbucki, zabawny w swej zazdrości mąż Wicherkowski — p. Melina i t. d.

W rolach kobiecych na plan pierwszy wysunęła się jako Pulcherja Wicherkowska — p. Zofja Dobrzańska. Talent to naprawdę niepospolity, pełen szczerości, prostoty, dużej ekspresji, nie operujący taniemi „gierkami". Predestynowana do ról, które na niemieckiej scenie określa się mianem tzw. *„jugendliche Cha-*

rakteristische", artystka ta posiada w swym bogatym repertuarze takie różnorodne kreacje jak: „Madame sans gêne", „Pygmalion", Hanka w „Głupim Jakóbie", Anitra w „Per Gynt", Pawłowa w „Marcowym Kawalerze", subretki Molierowskie i td. Zna ją z tych ról i pamięta doskonale Lwów, niedość zaś niestety dano dotąd poznać p. Dobrzańską Krakowowi; mamy jednak nadzieję, że uczyni to tegoroczny sezon w „Bagateli", choćby w imię własnego dobrze zrozumianego interesu.

Dalszego pola dla popisu „lwowskich dzieci" na krakowskim gruncie dostarczyły w „Bagateli" dwie komedje: „Ostatnia miłostka Jolanty" Norberta Garai i „Dzikus" Hartley'a Mannersa. Pierwsza to dość banalny twór węgierski, napisany właściwie dla jednej tytułowej roli skabotynizowanej gwiazdy scenicznej, która ukazuje się swemu kochankowi w czasie nocy miłosnej w szeregu najrozmaitszych bardzo różnorodnych postaci, grywanych przez się na deskach teatru. Trudną tę lecz ogromnie efektowną rolę odtwarzała p. Leonia Barwińska, która w pierwszym odrazu swym występie miała możność zaprezentowania publiczności krakowskiej całej bogatej skali swego talentu, świetnej postawy i urody, tudzież dużej rutyny scenicznej. W spokojnej roli melodramatycznego pierwszego kochanka Jolanty ukazał się p. Barwiński, który równocześnie wytrawną ręką wyreżyserował sztukę.



ZOFJA BARWIŃSKA
w roli „Dzikusa" na scenie teatru „Bagatela"

W sympatycznej ogromnie komedji angielskiej p. t. „Dzikus" zadebiutowała córka pp. Barwińskich młodziutka panna Zofja. Niebyle jakie przypadło tu debiutantce zadanie: rola tytułowa, która wypełnia sobą całe cztery akty. Nie schodzący niemal ze sceny irlandzki ten Dzikus, który nieokiełzaną swą naturą, wybuchowym temperamentem oburza purytańską ciocię, rozkochując w sobie równocześnie angielskiego barona, podbił przebojem krakowską zimną publiczność; wnosi on bowiem na scenę wiośniany czar młodości i urody, urok prostoty i rzadką przytem u debiutantek swobodę w intonacji i w ruchach.

Triumfalnym powrotem na scenę „Bagateli" po secesji do Warszawy był występ p. Bruczowej w komedji Gandera; „Dwaj mężowie pani Marty". Rolę młodej pięknej kobiety, która rozwodzi się z lekkomyślnym miłym nicponiem i zaślubia zrównoważonego statecznego fabrykanta po to, by niebawem z nudnych jego objęć przejść z powrotem w rozkoszne ramiona pierwszego męża, odegrała p. Bruczowa z właściwym sobie wdziękiem i dyskretną pikanterją. Pierwszym niebezpiecznym jej mężem był p. Kwiatkowski, drugim p. Dobrzański, podbijający siłą swego komizmu, wychylającego się z za spokojnej, smutnej niemal twarzy.

Drugim popisem p. Bruczowej była niezwykle interesująca komedja Chiarellego „Śmierć Kochanków"; podobnie jak w „Twarzy i masce" i w „Chimerach", oryginalny ten autor włoski wśród splotu efektownych sytuacji komedjowych w których groteska graniczy z dramatem, ukazuje zakłamane twarze ludzkie, wydobywa na jaw małość ludzkich namiętności, pozujących się w wielkie gesty. Obok p. Bruczowej, grającej z subtelną finezją rolę kochanki, aplauzem szczególnym cieszyła się w roli staruszki stylowej, jakby wyciętej z portretu pani Sznage.

Obecnie utrzymuje się na afiszu wystawiony z okazji 5-lecia „Bagateli" ostatni utwór autora „Krowoderskich zuchów" Turskiego p. t. „Gdy kurtyna zapadnie". Jest to realistyczny obraz życia prowincjonalnego teatrzyku, niedoli i radości, łez i śmiechu braci aktorskiej, przedstawiony ze znawstwem przez autora i jego dłonią umiejętnie wyreżyserowany.

ZOEL

POGADANKI PEDAGOGICZNE

NASZ ŚWIAT DZIECIĘCY

I.

Piękne letnie południe w miejskim ogrodzie. Na zielonych trawnikach, porysowanych zygzakami różnobarwnego kwiecia, migają malownicze sylwetki wesoło igrającej dziatwy. Obok na ławeczkach siedzą wychowawczynie, matki i ojcowie, patrzący na swe „pociechy" z rozczuleniem, dumą i ukrytą troską.

* * *

Jaś i Hania gonią się dookoła klombu, nagle chłopczyk, potknąwszy się, pada na murawę i rozpieszczona buzia zlekka się krzywi do płaczu. Zaniepokojona matka, siedząca nieopodal, podbiega natychmiast do dziecka, chwyta je na ręce, obrzuca pieszczotami, przytula; a dziecko roztkliwia się niepotrzebnie i wybucha rzewnym płaczem.

O ileż rosądniej postępuje matka, która pozornie nie zwraca uwagi na drobny wypadek i pozostawia dziecku zaradzenie sobie samemu. Wówczas bowiem szuka ono przyczyny faktu w samym sobie, łatwiej uniknie w przyszłości skutków nieuwagi oraz uczy się samodzielności już w zaraniu swego życia.

II.

Trzyletnia Janinka nie chce się bawić w ogrodzie, grymasi, odbiera innym zabawki. Zniecierpliwiona bona przyciąga dziewczynkę ku sobie i groźnie na nią patrząc, mówi z utajoną złością: „Bądź posłuszna, bo patrz — ten dziad, co tam idzie, weźmie cię do worka i zabierze ze sobą!" Przerażone dziecko szeroko oczy roztwiera ze strachu, chce się ukryć, wreszcie szlocha serdecznie.

Ileż to razy w ten sposób niewykształcone nianie, a co gorsza, „wyspecjalizowane" bony straszą dzieci cyganem lub kominiarzem, pragnąc tą drogą zmusić je do posłuszeństwa. A dziecko pod wpływem takiego nierozumnego postępowania staje się coraz bardziej lękliwe, drży przed obcymi ludźmi, boi się ciemnego pokoju, a niejednokrotnie powstają na tem tle nawet poważniejsze objawy nerwowe. System „straszenia" powinien być bezwzględnie zarzucony, jako nader szkodliwy dla duchowego zdrowia dziecka.

III.

Mała Basia poplamiła w kilku miejscach świeżą białą sukienkę podczas zabawy piłką w ogrodzie. Matka surowo strofuje ją za to, lecz ojciec, siedzący tuż obok, bierze dziecko na ręce i odzywa się w ten sposób: „A cóż ona temu winna, przecież to nie panna na balu!" — i pieszczotą pragnie dziecku wynagrodzić surowość matki.

A jednakże ojciec, choćby nawet miał rację w osądzeniu winy swego dziecka, postąpił nader niewłaściwie, czyniąc je świadkiem niezgody pomiędzy rodzicami i osłabiając w ten sposób nie tylko powagę matki, lecz i swój własny autorytet. Gdyż brak solidarności w postępowaniu rodziców zwraca się zawsze przeciwko nim i stanowi zazwyczaj najczęstszą przyczynę niekarności dziecka. *Jadwiga Jaroszyńska*

MARJA CORELLI 1)

„BEZ CZEGO ŻYĆ NIE MOŻNA..."

POWIEŚĆ — Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁA W. TOMASZEWSKA

Rozdział I.

Przez cały tydzień potężna burza szalała na wybrzeżach Devonu. Lato w szalonym napadzie karnawałowej rozpusty przywdziało na chwilę szatę zimową, — nawet wśród przytulnych sadów w ukrytej dolinie Combmartinu wicher i szalejąca ulewa obłamały niejedną tęgą gałęź jabłoni, obciążoną rumianemi owocami. Teraz dopiero, pod schyłek dnia, poczęły na niebie rozchodzić się ciężkie, kłębiące się chmury. Morze smagało jeszcze huczące skalisty brzeg, ale siła wichru słabła coraz bardziej i już zmieniała się w łagodny podmuch, a złota smuga światła zapłonęła na zachodzie tam, gdzie słońce niewidocznie przez tyle godzin, szło na spoczynek, ukrywając na noc swą płomienną twarz poza przyłbicę wznoszącej się ziemi. Pożoga zachodu poczynała przenikać całą naturę — kwiaty ciężkie od dżdżu usiłowały tchnąć swą subtelną woń z ziemi, do której przygniotła je ulewa i omal nie złamała delikatnych ich łodyg. Mały szary ptaszek wyfrunął radośnie z krzaka, w którym schronił się był przed burzą i usiadł na parapecie okna najbliższego domu i tam zanucił prześliczną piosenkę na pociechę i otuchę mieszkańcom tej siedziby — i to zanim jeszcze nawet wziął się do uporządkowania i czyszczenia swych piórek.

Okno stało otworem, w pokoju przy oknie siedział przy szkolnem biureczku mały chłopak, czytając pilnie i robiąc ołówkiem co chwila notatki na wielkim arkuszu papieru. Cały zatonął w swej pracy, ale gdy rozbrzmiał głos ptaszka, podniósł natychmiast głowę i zaczął słuchać a jego głębokie, myślące oczy zdały się jeszcze ciemniejsze, pełne słodyczy i błyszczące, jakby od łzy wylanej. Ale na krótką tylko chwilę przerwał swą pracę — znowu pochylił główkę nad książką z wyrazem metodycznej cierpliwości i rezygnacji, zdumiewającej w twarzy tak młodego dziecka. Można go było wziąść za urzędnika bankowego lub pilnego, starego buchaltera w wielkiej londyńskiej firmie — tak poważnem i dorosłem było całe jego wzięcie — a było to przecież dziecko zaledwie jedenastoletnie. Naprawdę — na jego bladej i mądrej twarzyczce był jakiś wyraz prawie zatrważający przedwcześnie rozbudzonej świadomości — na jego czole zarysowała się już pionowa „zmarszczka myślenia". Usta jego, zamiast kreślić dziecięcy łuk pełnych warg, jego słodkie usteczka rysowały bezsprzecznie twardą linję silnej woli i panowania nad sobą.

Zmierzch stawał się coraz gęstszy, złotowłosa główka pochylała się nad książką coraz niżej i chłopak nie ustawał czytać, rozważać i notować, a ptaszek, który przyleciał na jego okno, by zapowiedzieć na jutrzejszy dzień przepyszną, świeżą pogodę — zdawał się bardzo rozczarowany. Jego radosna piosenka nie odnalazła chyba oddźwięku tam, w pokoju. Przestał jakoś śpiewać i począł z ogromnym wdziękiem czesać piórko po pióreczku, co chwilka zerkając za siebie na młodego studenta, jakby dziwiąc się i pytając: „Cóż to za dziwy? Deszcz ustał, powietrze takie wyświeżone — kwiaty omal nie zatchną się własną wonią, natura cała się raduje — a tu siedzi zamknięte w murach młode stworzenie i ślęczy nad książką, która na pewne nie jest dziełem boskiej ręki. Jego twarz jest blada, oczy smutne, — on chyba nie wie i nie rozumie, co to radość!"

Tymczasem rozżarzona szafranowa smuga na zachodzie rozszerzyła się już na pół sklepienia — na morze padł jakby grad seledynowych strzał, błysków różowych i liljowych, niby odblask jakichś przewspaniałych niebiańskich wrót, a słońce w pełnym rozblasku zajaśniało nagle w całym swoim majestacie. Radosne płomienne światło zachodu oświetliło całe Combmartin, stary szary kościół, kamienne domki, strzechy okryte pnącem kwieciem i skąpało to wszystko w potokach płynnego złota. Spokojne fale, które nadbiegały z morza do małego zacisznego portu, wzięły od tego światła przejrzyste blaski złota, seledynu i rubinu.

To samo barwami przesycone światło wtargnęło do pokoju, gdzie w cieniu siedział samotny chłopak przy pracy. Jeden jasny snop promieni zatańczył na złotych lokach jego pochylonej główki i dotknął jej, niby błogosławiąca ręka świetlistego anioła.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł młody człowiek w białym flanelowym stroju wioślarskim.

— Jeszcze nad książkami, Lionelu! — odezwał się serdecznie — Popatrz na świat, zostaw to na dziś! Burza przeszła — chodź ze mną, weźmę cię na łódkę.

Lionel podniósł na niego oczy z wyrazem zdziwienia i jakby lęku.

— Czy *on* powiedział, że ja mogę pójść mr. Montrose?

— Nie pytałem go wcale, — odpowiedział młody człowiek krótko. — Ja powiadam, że nie tylko możesz, ale że powinieneś pójść! Jestem twoim nauczycielem — przynajmniej na razie, i ty wiesz przecie, że musisz mnie słuchać, albo...

Przybrał bokserską postawę i śmiejąc się, począł wykonywać groźne ruchy zapaśnicze.

Chłopak zaśmiał się i wstał z krzesła.

— Nie zdaje mi się wcale, żebym robił duże postępy, — rzekł tonem usprawiedlienia, rzucając pełne zwątpienia spojrzenie na książki, od których wstał właśnie. — Zwykle przypuszczam, że wszystkiemu winna moja tępota, to znów, że to wszystko dziwnie mi się w głowie pomięszało — a nieraz przychodzi mi na myśl, że to wszystko właściwie na nic. Bo czy mnie może naprzykład, naprawdę zajmować jak nazywały się daniny, przysługujące w Anglji biskupom w roku 1054? Nie obchodzi mnie to nic a nic, ile i komu wtedy płacono i doprawdy jestem pewny, że mnie to nigdy obchodzić nie będzie. Bo czy ma to jakikolwiek związek z tem, jak dziś ludzie żyją i co dziś się dzieje? Chyba nie?

— Nie — odparł śmiejąc się Montrose — to należy raczej do całokształtu wiadomości. W każdym razie możesz na razie zostawić te daniny w spokoju — zapomnieć o nich — a w dodatku o wszystkich królach i biskupach wogóle, jeśli masz tylko ochotę. Wyglądasz zmęczony, jakie więc byłoby twe zdanie o wybornej herbatce u miss Payne?

— Cudownie! — wykrzyknął i coś jakby radość rozświetliło bladą twarzyczkę Lionela. — Ale proszę — chodźmy naprzód wiosłować — proszę bardzo! Za chwilę zapadnie wieczór, a ja tak lubię patrzeć z morza na zachodzące słońce!

Montrose milczał, stał w otwartych drzwiach i czekał, obserwując bacznie chłopca, który teraz z metodycznością dorosłego człowieka sprzątał pilnie książki i przybory. Czynił to z jakąś lękliwą pedanterją: wytarł pióro, zaciął świeżo ołówek, by mieć wszystko w porządku, gdy znów wróci do pracy, składał porządnie ćwiartki czystego papieru, obtarł starannie pulpit, włożył książkę „o biskupach i tem podobnych" w stosowne miejsce na specjalnej półce i jeszcze raz oglądnął się z lękiem, czy nie pominął której z tych drobiazgowych czynności. Nauczyciel jego, choć sam człowiek zamiłowany w ładzie i wielki porządnicki, byłby jednak chętniej widział, by jego uczeń — przecie dzieciak jeszcze mały — rzucił wszystko w nieładzie i z dzikim okrzykiem radości uciekł na świat. Ale my-

śli swej nie wypowiedział i dalej spoglądał z pod spuszczonych powiek z wyrazem dobroci i głębokiego zainteresowania na kręcącego się metodycznie po pokoju chłopaka. W końcu pokój był przyprowadzony do wzorowego porządku, niczem izdebka pedantycznej starej panny. Lionel zdjął czerwoną czapeczkę z specjalnie na nią przeznaczonego kołka, wdział ją i uśmiechnął się serdecznie do swego silnego, dzielnego towarzysza.

— A teraz, mr. Montrose — rzekł.

Montrose ocknął się, jakby wyrwany z zamyślenia.

— Ah, otóż to, teraz uczyni się, jako się rzekło.

Założył z fantazją słomiany kapelusz i gwiżdżąc jakąś wesołą piosenkę zeszedł schodami do ogrodu, a tuż za nim Lionel, jak mały, trwożny cień. Kiedy przechodzili wśród kwiatów i krzewów ogrodu ku bramie, wiodącej wprost na gościniec — dostrzegł ich ktoś z okna pierwszego piętra. Wśród zwojów kwitnącej fuksji ukazała się piękna twarz kobieca i dźwięczny głos zawołał!

— Mr. Montrose, pan dziś ucieka za szkołę? To naprawdę pięknie. Niech pan robi zawsze to, co panu powiedziano, żeby pan nie robił! Pa, mój malutki Lylie!

Lionel patrzał w górę i chwilkę powiewał swą czerwoną czapeczką.

— Pa, mateczko!

Na czysty dźwięk głosu chłopca cudna twarz w obramieniu płonącego kwiecia przybrała wyraz niewypowiedzianej słodyczy — i znikła w ciemnej głębi pokoju.

Lasy i wzgórza wokół Combmartinu zarumienione były od ciepłych promieni zachodzącego słońca, na morzu falującem jeszcze po burzy, iskrzącem perłami i rubinami pian kołysała się zgrabna łódka na przybrzeźnej fali. William Montrose B. A.[1]) „nasz Willie“ jak go nazywała cała jego w nim zakochana rodzina, wiosłował z zapałem a Lionel Valliscourt, jedyny syn i spadkobierca Johna Valiscourta of Valliscourt z hrabstwa Sommerset siedział naprzeciw niego w samym tyle łodzi ze swą złotą czupryną rozwianą we wietrze. Jego wielkie, marzące oczy towarzyszyły każdej fali, która szła na spotkanie łódki i rozbijała się opalowym bryzgiem o szybko wodę prujący dziób.

— Mr. Montrose — zawołał — jakież to cudne!

— Tak, tak — odparł Montrose B. A., westchnął głęboko i ze zdwojoną siłą nacisnął wiosła. — Życie jest piękną rzeczą, gdy się go używa pełną piersią!

Lionel nie dosłyszał tej ostatniej uwagi, tak popchnęło go całego polowanie za pływającym po wodzie długim warkoczem jakiejś morskiej trawy, zwykłego, bezużytecznego i omulonego zielska, które jednak w jego oczach był czemś wprost zachwycającem. Wplątana w jej zielone, wilgotne sznurki tkwiła moc malutkich muszelek, tak delikatnych i drobnych, jak perełki. Każda taka malutka muszelka kryła w sobie życie tak delikatne, jak ona. Ileż dawało do myślenia to mnóstwo tajemniczych, drobnych a tak doskonałych organizmów. Gdy tak z natężeniem rozpatrywał subtelną sieć morskiej trawy, tej przędzy oceanu, przez umysł chłopca przeleciała ciężka chmura myśli o tem, co niezbadane i niewidzialne. Zapytywał sam siebie — tak jak zapytywali przez wsze czasy mędrcy, aż po kres swych dni — o przyczynę stworzenia i nieskończonej rozrodczości istot napozór zupełnie niepotrzebnych — ot, jak naprzykład to grono muszelek, stanowiące zamknięty w sobie świat — jakież było końcowe zamierzenie tego wszystkiego?... Myślał poważnie, a myśląc zatroskał się głęboko — ten mały dzieciak — nad beznadziejną zmorą Ekleziasty i jego rozpatrznego okrzyku: *„vanitas vanitatum“*[2])

Niebo płonęło purpurą. Krawędzie ziemi zdawały się spotykać na krańcu oceanu z kręgiem słonecznym — a potem ciemność pokryła płomienistą jego tarczę i przejrzysty, bladopurpurowy zmierzch począł pokrywać „Wzgórza wisielca“ — jak brzmi ich dziwaczna nazwa — Wielkiego i Małego Wisielca. Widok tych dwu, trawą tylko porosłych wzgórz nie budzi zresztą bynajmniej żadnych tragicznych reminiscencyj o karze śmierci na szubienicy... Imię swe wzięły zdaje się od podania ludowego. Opowiada ono o złodzieju, który ukradł owcę i uciekając z łupem przywiązał sobie zwierzę na plecach. Za zbrodnię spotkała go natychmiast kara, bo owca szamocząc się zacisnęła nagle sznur koło jego szyji w sposób tak nawskróś „katowski“, że złodziej uduszony padł martwy na miejscu, właśnie na owem wzgórzu.

Dwie wyniosłości „Wzgórz wisielca“ widziane od morza tworzą prześliczny, malowniczy przylądek.

Willie Montrose złożył na chwilę wiosła i z podziwem, oczyma omal nie zakochanemi, spoglądał na ich wdzięczną sylwetę — głównie może dla tego, że przypomniały mu pewien ulubiony zakątek na jego ukochanem, szkockiem wybrzeżu, tak cudownie pięknem i romantycznem. Potem podniósł wzrok na zwichrzoną, złotowłosą główkę swego ucznia, który nie przerywał dumań nad znalezionym skarbem, wilgotną więzią morskich traw i muszelek.

— Cóż ty tam masz takiego Lionelu? — zapytał.

Chłopak podniósł główkę i spojrzał mu w oczy.

— Tysiące istotek — odparł śmiejąc się, — a każda w swym własnym małym ładniutkim domku — proszę spojrzeć! — i podniósł swą wilgotną zdobycz. — Czy to nie miasto dla siebie? — i naprawdę wcale nie dziwiłbym się, gdyby jego mieszkańcy tak wysoko się cenili, jak my! — Oczy jego pociemniały, a uśmiech znikł z jego twarzyczki. — Co pan myśli o tem, mr. Montrose? Mnie się wcale nie wydaje, żebyśmy ludzie więcej znaczyli w wszechświecie, jak te maleństwa w muszelkach.

Montrose nie odpowiedział zrazu. Wyciągnął wielki srebrny zegarek i odezwał się:

— Czas na herbatę, wrzuć twój ludek w muszelkach z powrotem do ich rodzimego żywiołu, mój chłopcze i daj teraz spokój takim pytaniom, dobrze? Proszę cię, bierz za wiosło.

Lionel usłuchał natychmiast z rumieńcem radości — lecz przedtem z tkliwą pieczołowitością oddał morzu pęk morskich traw, kładąc go na falę, pieściwie bok łódki uderzającą. Potem wziął się dzielnie do wiosłowania wątłemi ramionkami, gdy tymczasem Montrose hamując własną siłę, by utrzymać równowagę z drugiem wiosłem, spoglądał na jego wysiłek okiem poważnem i jakby współczującem. Wiatr wiał ku wybrzeżu i łódka wraz z nim pomykała do lądu — zdrowy wysiłek wiosłowania zabarwił ślicznym rumieńcem twarzyczkę Lionela i rozniecił wesoły blask w jego oczach. Gdy dobiwszy do brzegu wyskakiwali z łódki na ląd, wyglądał już całkiem tak, jak natura pragnie, by wszyscy młodzi chłopcy wyglądali, wesoło i raźno, a charakterystyczne dla niego pionowe zmarszczki na czole, nadające mu zwykle wyraz surowego zmutku, — ślad wytężonej nauki i rozmyślań, — znikły prawie bez śladu. Spojrzawszy najpierw na ciemniejące niebo, a potem na swoje ubranko zbryzgane wodą, zawołał śmiejąc się wesoło:

— Boję się, że oberwie się nam, jak wrócimy do domu!

— Tobie może, mnie już nic, — odpowiedział Montrose jakby od niechcenia, — dzisiejszy wieczór jest mój ostatni tutaj — więc dla mnie to już wszystko jedno...

Twarz Lionela pociemniała w jednej chwili. Zawołał ze zdumieniem i lękiem.

— Ostatni wieczór! — Nie — nie! Pan nie mówi tego na serjo!

Niebieskie poczciwe oczy Willie'go Montrose wyrażały wielką tkliwość i współczucie.

— Chodź, chodź chłopcze, należy się nam herbatka! — rzekł łagodnie, głosem trochę wzruszonym, wpadając mimowoli w nieco góralski akcent swej rodzinnej Szkocji. — Chodź-

[1]) absolwent filozofji.
[2]) marność nad marnościami.

my, a opowiem ci wszystko przy herbacie. W życiu dzieje się tak, jak tam na morzu — trzeba brać pogodę i burzę tak, jak przychodzą i starać się wśród tego żyć poprostu jak najlepiej. Nie trzeba zbytniej przywiązywać wagi do przykrości i kłopotów, które się przecież zdarzać muszą, ani do pożegnań i do podobnych historyj... Czyż nie słyszałeś zawsze, że najlepsi przyjaciele rozstawać się muszą, czyż nie! Podnieś głowę do góry i nie rób tak przygnębionej miny! Maszerujmy do miss Payne, bo tylko w jej gospodzie można dostać taką wyborną śmietankę, najlepszą bodaj w całem Devonshire. Czeka nas wesoły podwieczorek i nagadamy się do woli. Dobrze?

Lecz Lionel milczał z twarzą bladą, a usta jego przybrały znowu wyraz powagi i zaciętości.

— Wiem, powiedział po chwili powoli, wiem już dobrze, co mi pan ma powiedzieć, mr. Montrose. Mój ojciec wyprawia pana stąd. Nie jest to dla mnie niespodzianką, ciągle przypuszczałem, że się to wnet stać musi. Pan wie sam, że pan był dla mnie zbyt dobry, zbyt „miękki" — oto jest cała przyczyna. Nie — ja nie będę płakał — i dzielnie przytłumił wydzierający mu się z piersi szloch. Jestem zadowolony, że pan odchodzi — ze względu na pańskie dobro, ale smutno mi, gdy o sobie samym pomyślę — bardzo mi smutno! — Bardzo — często żal mi samego siebie — a czy to nie jest tchórzostwem współczuć samemu ze sobą? — Marek Aureliusz powiada, że najgorszym rodzajem tchórzostwa jest roztkliwianie się nad sobą".

— Oh, niech djabli wezmą Marka Aureliusza! — wybuchnął Montrose.

Lionel uśmiechnął się cynicznym, oschłym uśmieszkiem.

— Czy pójdziemy na herbatkę? — zapytał spokojnie, — ja jestem gotów.

Poczęli oddalać się od wybrzeża — młody człowiek krokiem elastycznym choć niedbałym, a z nim dzieciak, którego znużone nóżki zdawały się z trudem tylko nosić drobne ciało. Dręczące myśli i przeczucia odbierały im ochotę do mówienia i nawet wtedy żaden z nich nie odezwał się słowem, gdy naraz złocisto-purpurowa łuna rozżagwiła się po morzu jako ostatnie pozdrowienia niewidocznego już słońca — i cudnego tego widoku, który byłby im kiedyindziej wyrwał z ust okrzyki zachwytu, zdawały się chyba nie widzieć wcale zadumane oczy. Skręcili z głównej uliczki miasteczka i skierowali swe kroki ku strzechą pokrytemu ślicznemu domkowi, który od szczytów dachu aż po fundamenta opleciony był pnącemi różami, fuksjami i jaśminem tak, że wpośród tego bogactwa kwietnych girland zaledwie widoczny był w ramie kwitnących płomiennych nasturcyj skromny szyld z napisem:

Klarynda Cleverly Payne
Świeżutkie jaja. Śmietanka devonshirska. Smakołyki.
Zawsze gorąca herbata.

W tem wiejskiem ustroniu zniknął mistrz wraz z uczniem i jedynymi panami wybrzeża zostało dwu starych rybaków, siedzących pod skalistą ścianą urwiska i pykających spokojnie z fajeczek w obliczu morza, które z każdą chwilą uspokajało się coraz bardziej, oddychając coraz wolniej, jakby w tęsknem i pełnem poddania oczekiwaniu nadchodzącego władcy — księżyca.

Rozdział II.

Tego samego wieczora John Valliscourt, esq. z Valliscourt, siedział późno po obiedzie przy winie, rozmawiając spokojnie z szczupłym, przystojnym mężczyzną, baronetem sir Karolem Lascelles. Sir Karol był znaną postacią wśród „złotej młodzieży", a od pewnego czasu był jednym z najbliższych znajomych Valliscourtów; był on „starym przyjacielem" domu, a raczej tem, co dzisiejsze towarzystwo pod tem rozumie, to znaczy od roku odwiedzał ich bardzo często, nie narażając przez cały ten czas na szwank ani uczuć, ani kieszeni swych gospodarzy. Gdy w sezonie Valliscourtowie przebywali w swym pięknym domu przy Grosvenor Place, sir Karol nadzwyczaj często „wpadał" do nich i znowu wypadał jako stały, a zawsze jednako mile widziany gość, dostawca skandalicznych nowinek towarzyskich i niezawodny informator o grożących lub już dokonujących się rozwodach. Tym razem obecność jego w Combmartin była niespodzianką, gdyż przypuszczano, że udał się do swej „wioszczyny", w istocie pięknej posiadłości o kilku tysiącach morgów w hrabstwie Iverness I właśnie teraz tematem dość ciężkich dowcipów mr. Valliscourta była ta nagła odmiana humoru i postanowień.

— Teek, — cedził sir Karol, — mam djabło kapryśną naturę. Nigdy nie wiem sam, co mi na drugi dzień strzeli do głowy. Słowo daję! Mój stary kompan pojechał na kilka tygodni do zamku Watermouth i namawiał mnie, bym tam także przyjechał. Jest u niego duży zjazd. I oto, jakim sposobem się tu znalazłem.

Mrs. Valliscourt, która po obiedzie siadła na szezlongu w pobliżu okna, obejrzała się na niego i uśmiechnęła. Jej uśmiech był przepiękny — nagły błysk wielkich promiennych jej oczu i białych ząbków dawał jej uśmiechowi i spojrzeniu czar dziwny i tak niespodziany, że nie mógł mu się nikt oprzeć, kogo jej oczy niespodzianie uderzyły.

— Spodziewam się, że wy tam w Watermouth jesteście nadzwyczaj dobrana paczka — ani jednej persony niżej baroneta, — drwił dalej mr. Valliscourt, tłukąc orzechy i obierając je swemi pięknemi i nadzwyczaj starannie utrzymanemi palcami, — nikogo niżej baroneta, ha?!

I zaśmiał się z cicha.

Sir Karol posłał mu z pod swych leniwo opuszczonych powiek szybkie spojrzenie, któreby było go zadziwiło, gdyby je był dostrzegł. Złośliwość, szyderstwo i żywiołowa nienawiść była w tym wzroku i rozświetliła twarz jego na chwilę płomieniem szatańskiego iście błysku. Błysk ten zniknął prawie tak szybko, jak się ukazał i w flegmatycznym głosie odpowiadającego nie można było odszukać już ani śladu tych przez mgnienie oka objawionych uczuć.

— Doprawdy — nie wiem sam — jest tam także z nami jakiś malarzyna, — jeden z tych przereklamowanych „wybijających się" artystów, który nadaje sobie niesłychane tony. Dostał zamówienie ozdobienia zamku swemi arcydziełami — oczywiście nie wiele sobie z niego robimy — staramy się jak możemy trzymać go w przyzwoitym dystansie od siebie, ale to nie zmienia faktu, że jest tam i że nie jada przy służbowym stole. A reszta to ci, co zwykle — wdowy z córkami na wydaniu, ale bez grosza — trzy czy cztery brzydkie „postępowe" młode kobiety, które cały dzień niepokoją okolicę na swoich rowerach i kilku starych głupich parów. Historja nie zbyt zabawna — więc dzisiejszego popołudnia uciekłem od zwykłej beznadziejnej popołudniowej herbaty i pomyślałem sobie, że mogę skoczyć konno i zaglądnąć do was.

— Jesteśmy za ten pomysł bardzo wdzięczni — odezwał się mr. Valliscourt uprzejmie. — Ale pragnąłbym wiedzieć, skąd wiedział pan, że my tu teraz jesteśmy.

Sir Karol przygryzł wargi, by ukrył uśmiech i odpowiedział swobodnie:

— Oh, tu na tej zapadłej prowincji wszyscy wszystko o swych bliźnich wiedzą. A zresztą, kto zamieszkuje jedyną przyzwoitą siedzibę w Combmartin, nie może się chyba spodziewać, że jego bytność pozostanie tajemnicą. Śliczna to doprawdy stara siedziba.

— Ta siedziba to zwykła stara buda, — przemówiła po raz pierwszy mrs. Valliscourt, patrząc prosto na męża, — wilgotna, ponura i wyjątkowo ohydnie umeblowana. Można by z niej oczywiście zrobić śliczną siedzibę, gdyby ktoś był na tyle szalony i wydał na odnowienie kilka tysięcy funtów szterlingów, — ale tak, jak teraz dom nasz wygląda — nie pojmuję doprawdy, dlaczego John wybrał go na letni pobyt.

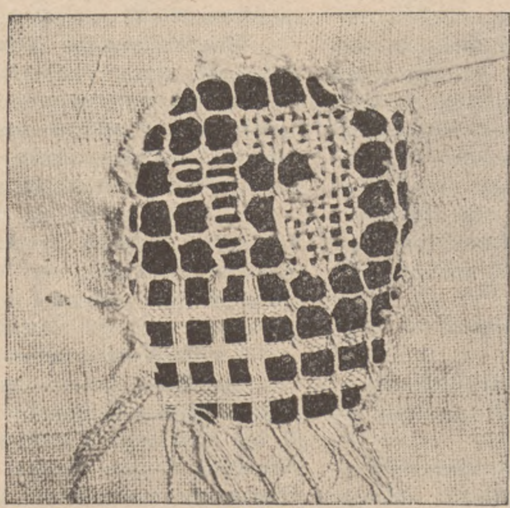
(C. d. n.)

WZORY do wykonania robót, zawartych w „Świecie Kobiecym" dostarczamy odwrotnie. Ceny wzorów robót ręcznych: Obrusy, firanki, kapy i t. p. 2 zł. Milieu, poduszki, makatki 1 zł. Motywy, tabletki i t. p. 0·80 zł.

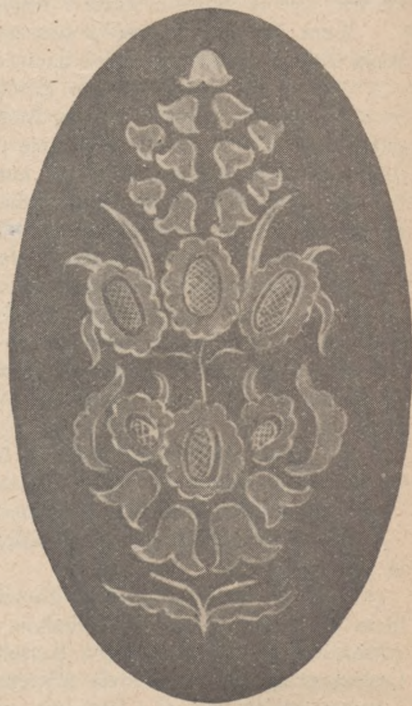
Celem zaoszczędzenia bardzo znacznych kosztów zaliczki, prosimy należność przesyłać przy zamówieniu (można w liście w znaczkach pocztowych) wraz z kwotą 0·25 zł. na koszta przesyłki

ROBOTY

Rys. 1. ***Haft,*** albo malowidło na drzewie barwy: terakota, bronzowy i starozłoty. Projekt p. Boberównej (Warszawa).



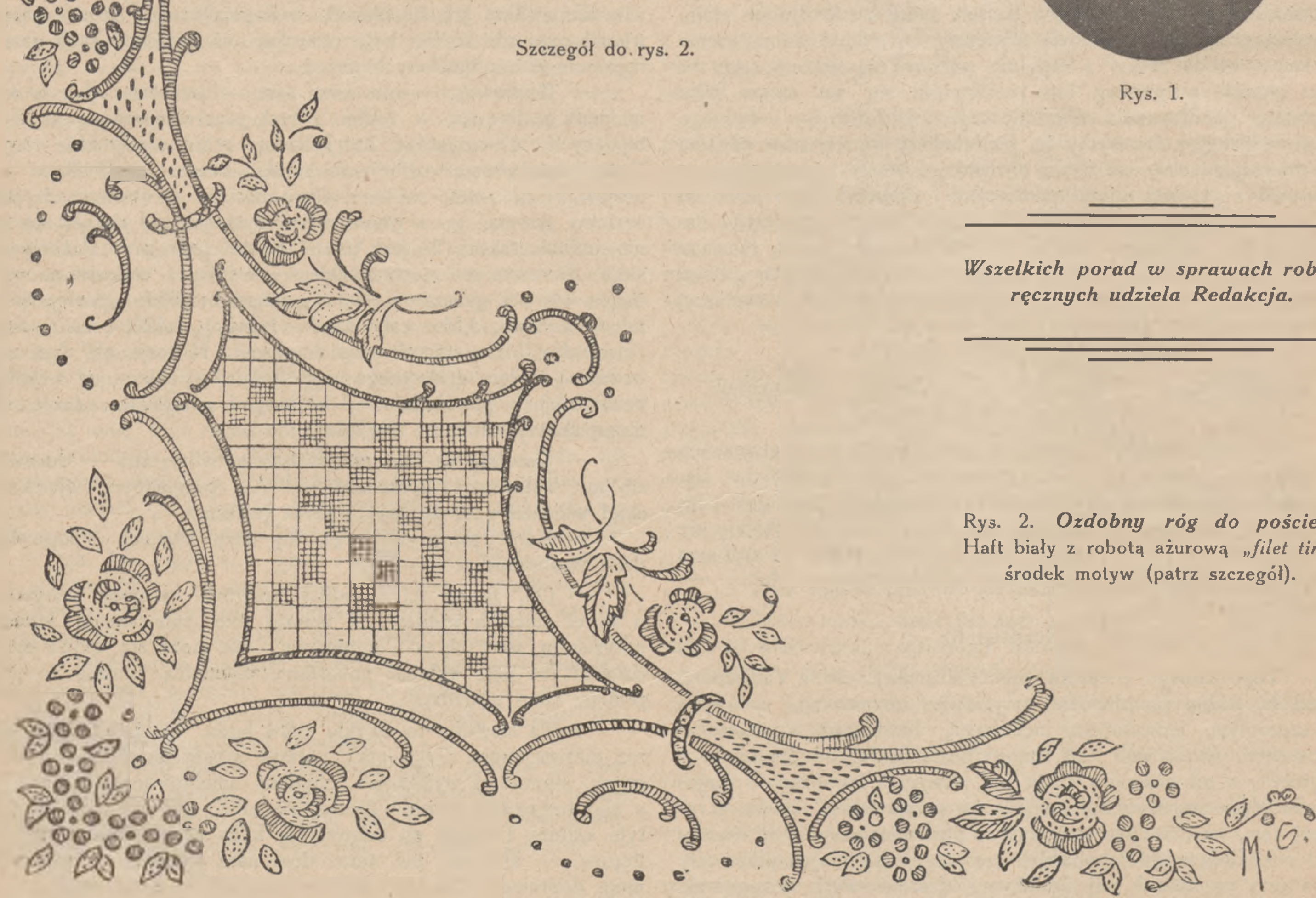
Szczegół do rys. 2.



Rys. 1.

Wszelkich porad w sprawach robót ręcznych udziela Redakcja.

Rys. 2. ***Ozdobny róg do pościeli.*** Haft biały z robotą ażurową *„filet tire"* środek motyw (patrz szczegół).



Rys. 2.

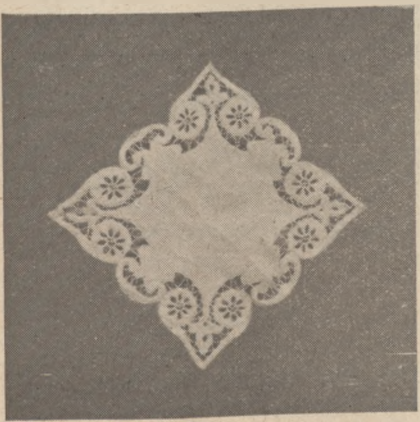
RĘCZNE

Rys. 3. ***Serwetka*** 30 cm^2, haft Richelieu. (Wystawa w Państw. Instyt. Robót ręczn. w Warszawie, praca p. Krysińskiej).

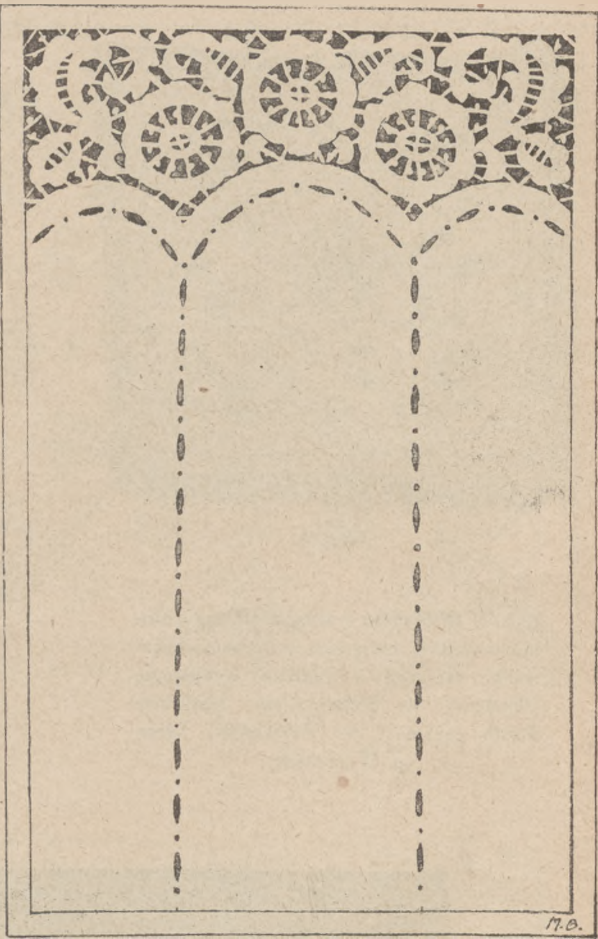
Rys. 4. ***Witrażyk na okno.*** Rozmiar około 70 40 cm. Haft Richelieu i angielski na białym batyście lśniącą bawełną. Obręb mereżkowy.

Rys. 5. ***Oryginalny haft*** zdobiący białą wełnianą suknię wykonany w pracowni p. Prądzyńskiej w Warszawie.

Rys. 6. ***Obrusik*** rozmiar około 80 cm^2. Model wykonany z szaroniebieskiego jedwabiu, linje tworzą wąziutkie starozłote tasiemeczki metalowe. Kwiaty splikowane z matowo-poziomkowego aksamitu, liście z zielonego adamaszku. Brzeg uszyty z ciemniejszego materjału. Wzór daje się też zastosować do batiku, haftu płaskiego lub do ściegu Janina na batyście lub markizecie białą lśniącą bawełną.



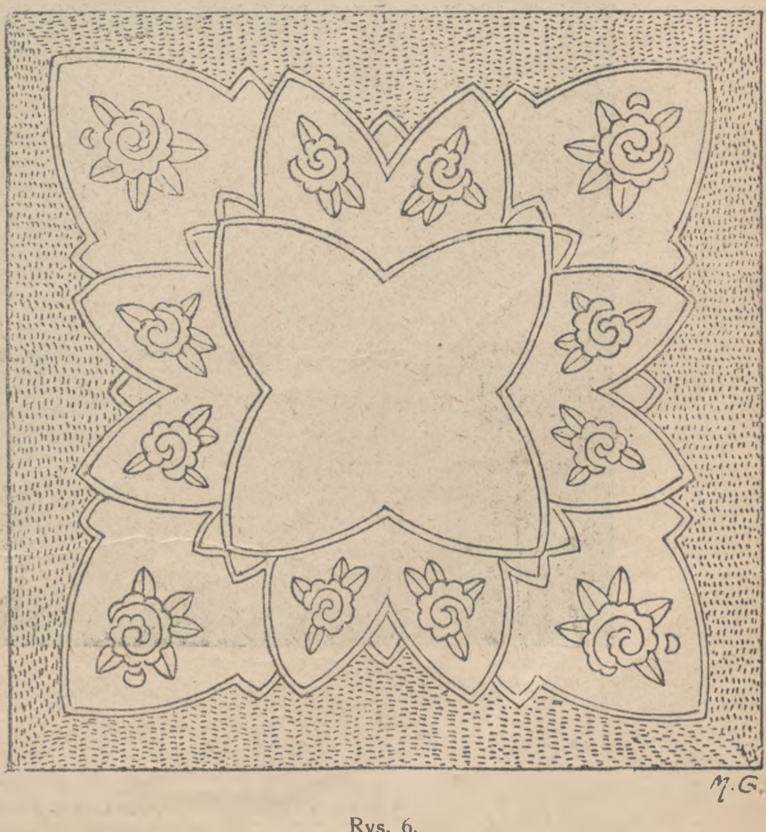
Rys. 3.



Rys. 4.



Rys. 5.



Rys. 6.

ROBOTY



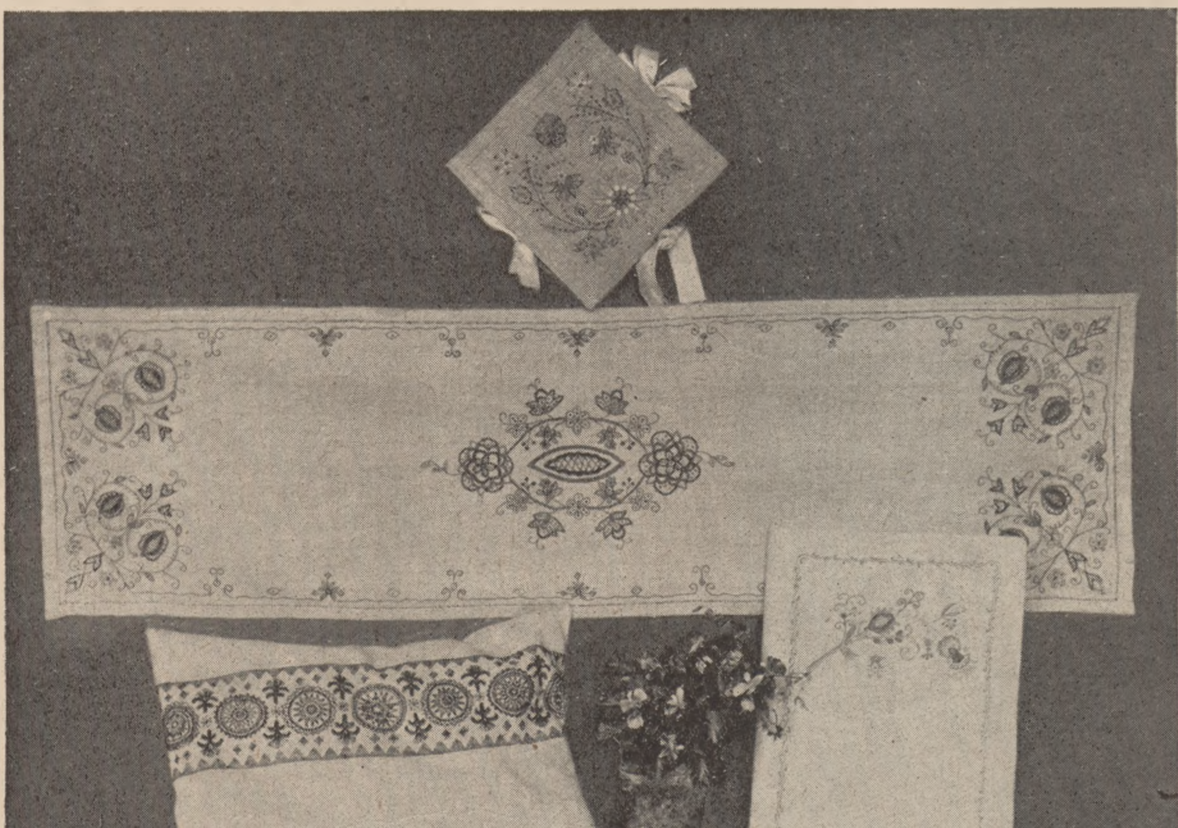
Rys. 7.



Rys. 8.

Rys. 7. ***Makatka*** z szarego płótna ozdobiona haftem barwnym w barwach ludowych, mereżką i frendzlą wyciąganą. (Wystawa w Państwowym Instytucie Robót ręcznych w Warszawie. Praca p. Warężanki.

Rys. 8. ***Motyw*** haftu barwnego stosownego do ozdoby firanek, kap i t. d.



Rys. 9.

Rys. 9. Wystawa w Państwowym Instytucie Robót ręcznych w Warszawie. Teczka p. Fijałkowskiej, poduszka p. Głucówny, makatka p. Prokopowicz, saszetka p. Jarosińskiej.

RĘCZNE



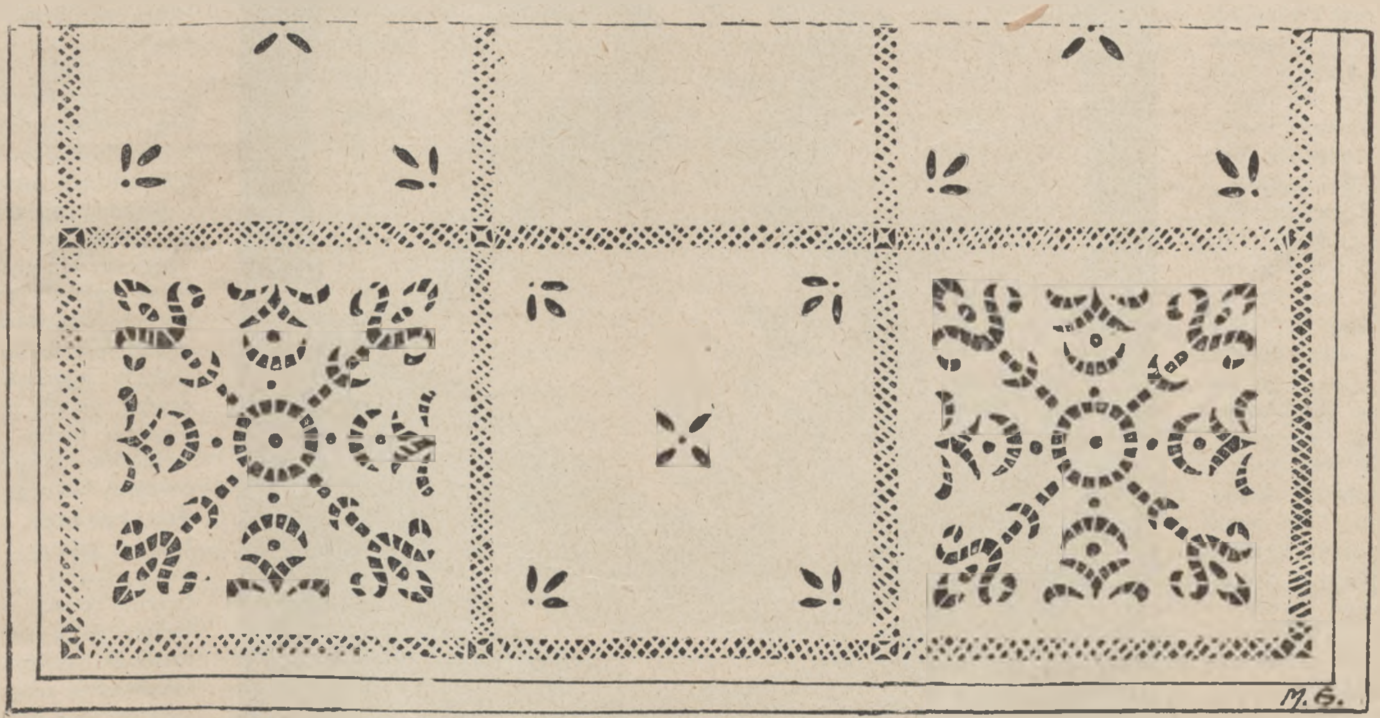
Rys. 10.



Rys. 11.

Rys. 10. ***Pasek*** do ozdoby półek w szafach bieliźnianych. Haft kolorowy.

Rys. 11. ***Motyw*** do wykonania ściegiem łańcuszkowym i przewlekanym albo piaskowym, można go wykonać aplikacją i sznureczkiem. Odpowiedni też do malowania na drzewie i batikowania na różnych materjałach.



Rys. 12.

Rys. 12. ***Milieu*** rozmiar 80 cm (wzór w połowie). Haft gipiurowy i angielski wykonany białą lśniącą bawełną na białej lśniącej webie. Poszczególne pola dzieli mereżka na $1^1/_2$ cm szeroka. Można też łączyć poszczególne haftowane kwadraty cienką wstawką klockową lub siatkowaną. Obręb również mereżkowany — można również otoczyć koronką stosowaną do wstawki.

(Szczegół do mereżki zamieścimy w nr. 15)

OPIS BARWNYCH MODELI PARYSKICH DO Nr 13 „ŚWIATA KOBIECEGO":

6325. Czarująca toaleta wieczorowa ze złotej materji — kształt futerału bez rękawów, z boku w ząb, ozdobiona haftem perełkowym.

6526. Płaszcz wieczorowy z popielatego *velour-chiffon* z szerokim obkładem z popielatego lisa i z haftem z barwnej włóczki.

CHARLOTTE CORDAY

Dużo się mówiło i mówi o zupełnej odmienności duszy rosyjskiej, szczególniej teraz, gdy rewolucja rosyjska, okrucieństwo tyranów rewolucyjnych z jednej a bierność społeczeństwa z drugiej strony, odkryła nam nowe pokłady rosyjskiej psyche, zgoła niezrozumiałej z punktu widzenia zachodnio-europejskiego.

Słyszy się niejednokrotnie rozstrząsane psychologiczne pytanie, dlaczego żaden z ludzi, których rodziny haniebnie pomordowano, których wyzuto z ciężko zapracowanego majątku, pozbawiono cienia wolności przekonań — dlaczego żaden z nich — a tacy ludzie nie mają chyba już nic do stracenia — nie dał swego życia za życie którego z maratów rosyjskiej rewolucji, tych wielkich katów Rosji.



Tajemnica ta tkwi bodaj tylko w biernocie i fatalizmie rosyjskiej natury, która kryje w sobie niejeden pierwiastek zagadkowego i okrutnych zagadek pełnego Wschodu.

Jakżeż inna jest dusza Zachodu! Tam tyranja wywołuje reakcję, tam kaci są twórcami nie tylko ofiar, ale i bohaterów, jak uczy nas historja Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Wśród tych heroicznych postaci „kontrrewolucji“ (tak brzmi dzisiejszy termin techniczny), szczególnym, pełnym dziwnego czaru blaskiem błyszczy imię Karoliny Corday, zabójczyni Marata, krwawego wodza rewolucji francuskiej.

Młoda, wytworna i piękna przybyła z prowincji do Paryża i, zdobywszy posłuchanie u Marata, zasztyletowała go. Wytoczono jej proces przed trybunałem rewolucyjnym. Ale taki proces to oczywiście tylko czcza formalność. A Charlotte Corday nie wypierała się bynajmniej odpowiedzialności za swój czyn... Podczas całego procesu ani na chwilę nie utraciła spokoju i nawet, kiedy odczytywano jej wyrok śmierci, piękna jej twarzyczka nie straciła zwykłego poważnego i pogodnego wyrazu. Uprzejmie podziękowała swemu obrońcy i poprosiła go, by wyrównał niewielki dług, jaki zaciągnęła w więzieniu.

Gdy powróciła do swej celi, odwiedził ją malarz Hauer, uczeń słynnego Davida, podówczas komendanta gwardji narodowej. Uzyskał on pozwolenie ukończenia portretu, który zaczął szkicować na sali sądowej. Karolina przyjęła go z wyszukaną uprzejmością i przybrała pozę, o jaką ją malarz prosił. Widząc ją pozującą tak spokojnie do portretu, nikt nie byłby się domyślił, że są to ostatnie godziny tej młodej i pięknej kobiety i że ona o tem wie... Zaledwie malarz skończył, zjawił się kat, by przebrać Karolinę w zwykły strój skazanych, w czerwoną koszulę rewolucyjną... Związano jej ręce. Wózek, na którym wieziono ją na miejsce stracenia, zaledwie mógł utorować sobie drogę poprzez olbrzymi tłum, tłoczący się, złorzeczący, wyjący. A na wozie stała Karolina Corday w czerwonej koszuli, ze związanemi białemi rączkami, z niezmienną pogodą na twarzy. Spokojna wzgarda była w tych oczach, wzgarda zarówno dla tego motłochu jak i dla tej, tak już bliskiej śmierci.

Musiała naprawdę niezwykła siła, niepospolita szlachetność i spokój bić od tej młodej i pięknej dziewczyny, kiedy pod ich wpływem ten rozjuszony tyluset egzekucjami motłoch umilkł po chwili. Ustały wyzwiska i drwiny, opadły podniesione pięści, rewolucyjne megery przestały wyciągać do skazanej swe krwawe pazury. Litość wstąpiła w te twarde serca, zwyciężyła piękność i młodość, która oto tak świetnie zdawała swój egzamin w obliczu nieubłaganej gilotyny.

Słońce przedarło na chwilę chmury i oświetliło złocistą poświatą wózek i młodą na nim bohaterkę. Jak piękna była w tej chwili w aureoli złocistych włosów, w czerwonej koszuli, przy której tem bielszą i czystszą wydawała się jej biała twarz.

Adam Lux, rażony jakby piorunem miłością do tej cudnej, niezwykłej dziewczyny, towarzyszy jej aż do stóp gilotyny. Porwany tą idealną i cudowną zaiste miłością, wykrzyknął namiętnie w obliczu kata i niezliczonego tłumu:

— „Ileż jest większa od Brutusa“.

Ten okrzyk admiracji został uznany za „gloryfikowanie zbrodniarki“ i zaprowadził Adama Lux przed trybunał rewolucyjny. Został skazany na śmierć, a wstępując na szafot, radosny, jakby w małżeńskie łoże, ginąc, zawołał:

— „Umieram za Charlottę Corday"!

Dzielna dziewczyna, o której heroizmie opowiada nam historja, a której piękność przechował dla nas portret Hauera, zdobyła sobie sławę o przedziwnym uroku. Jej białe rączki, zmazane krwią tyrana, nie utraciły nic ze swego blasku czystości — jej czarująca główka nic ze swej słodyczy i kobiecości.

Imię Charlotty Corday budzi zarówno podziw jak i współczucie dla bohaterki, nieci przedziwny sentyment dla tej romantycznej postaci.

Niewinna, piękna i młoda morderczyni, mścicielka nieswoich krzywd — oto jedna z najpiękniejszych postaci francuskiej rewolucji. *W. T.*

JAN PARANDOWSKI

CUDOWNE JAJE

W Sparcie, w jednej świątyni, można było jeszcze u schyłku starożytności oglądać rzecz bardzo osobliwą. Oto ze środka pułapu zwieszało się na wstęgach duże jaje, przedmiot szczególniejszej czci, szacowna relikwja, zwana „jajem Ledy". Krucha świętość zginęła pod ruinami świątyni, zniszczonej w V wieku przez najazd północnych barbarzyńców. Gdybyśmy je dziś posiadali, czcilibyśmy je zapewne taksamo jak starożytni, albowiem z niego właśnie wzięła początek najpiękniejsza kobieta, Helena trojańska.

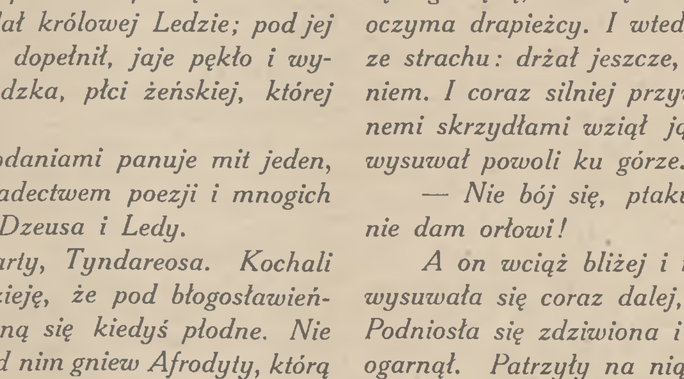
Ale skądże owo jaje? Mówią jedni że spadło z księżyca. Mogło się to zdarzyć, gdyż wiadomo powszechnie że na księżycu kobiety znoszą jaja, z których wykluwają się istoty piętnaście razy większe od ludzi. Inni znów opowiadają, jak Dzeus kochał Nemeris, — ta, uciekając przed nim, zmieniała co chwila postać, aż nakoniec stała się gęsią i Dzeus jako łabędź pokonał oporną. Nemeris zniosła jaje, które Hermes oddał królowej Ledzie; pod jej troskliwą opieką, gdy czas się dopełnił, jaje pękło i wyszła z niego mała figurka ludzka, płci żeńskiej, której dano imię Helena.

Ale ponad wszystkiemi podaniami panuje mit jeden, poparty niemal zgodnem świadectwem poezji i mnogich dzieł sztuki, — mit o miłości Dzeusa i Ledy.

Leda była żoną króla Sparty, Tyndareosa. Kochali się oboje wiernie, żywiąc nadzieję, że pod błogosławieństwem bogów, uściski ich staną się kiedyś płodne. Nie wiedział Tyndareos, że ciąży nad nim gniew Afrodyty, którą pominął przy jakiejś ofierze i nie wiedziała Leda że najdostojniejszy z bogów raczył na nią spojrzeć okiem miłości.

Co rano królowa Leda kąpała się w Eurotasie. Miała tam jedno miejsce wyborne, — ustronne i zaciszne, — tak osłonięte gęstemi splotami gałęzi, że promienie słońca nie mogły nigdy pokonać zielonego półmroku. Szło się tam drogą pełną kwiatów, — kwiaty na wodzie i kwiaty na łące, — a w oddali widać było góry, których łagodne wierzchołki kształtem przypominały wezbrane piersi kobiece.

Eurotas płynął wolno i bez szmeru. Wody jego były tak spokojne i przejrzyste że poprzez aleje i porosty widziała królowa Leda małe rybki, mknące niby czółenka srebrne, puszczone niewidzialną dłonią jakiejś nimfy, która w głębi wilgotnej groty bez przerwy snuła płynną szmaragdową tkaninę fal, łamiących się w oddali koronką piany.



Tam codzień kąpała się królowa Leda. Wyszedłszy z wody kładła się na trawie i patrzyła w plątawę ciemnych gałęzi, osypanych złotą rosą słońca, póki oczu jej nie zamknął sen, kochanek maków polnych o główkach czerwonych. Taki niby-sen ranny jest rozkoszny. Przez uchylone powieki widać drzewa otaczające, które wyglądają dziwnie: mają liście nieznanego kształtu, a wśród nich przelatują ptaki, jakich się nie spotyka na ziemi...

Raz z takiego półsnu wyrwał królowę Ledę przenikliwy krzyk gonionego ptaka. Był to łabędź, — duży, biały, piękny łabędź. Uciekał przed orłem. Trzepotał skrzydłami w trwodze bezradnej. Nie widząc nigdzie ratunku, wyleciał na brzeg i cały drżący przypadł do Ledy. Ogarnęła go ręką, nasunęła nań swój płaszcz, ukryła przed oczyma drapieżcy. I wtedy serce ptaka przestało łomotać ze strachu: drżał jeszcze, ale jakby innem jakiemś drżeniem. I coraz silniej przywierał do łona królowej. Śnieżnemi skrzydłami wziął ją niby w ramiona, długą szyję wysuwał powoli ku górze. Śmiała się królowa Leda:

— Nie bój się, ptaku mój biały! Nie puszczę cię, nie dam orłowi!

A on wciąż bliżej i mocniej tulił się do niej i szyja wysuwała się coraz dalej, jakby dziobem szukał jej ust. Podniosła się zdziwiona i spojrzała w oczy ptaka. Lęk ją ogarnął. Patrzyły na nią źrenice ludzkie czy boskie: — szerokie, palące, namiętne. Widziała raz takie, u Tyndareosa... I znów opadła. Łabędź ciężarem swym trzymał ją w objęciach.

A gdy spojrzała w górę zobaczyła na gałęzi drzewa orła, ptaka Dzeusowego, a nieco dalej parę gołębi, gruchających spokojnie. Poznała, kto się ukrywa pod śniegiem białych piór i nie opierała się dłużej. Zdjęta lękiem nabożnym podawała Dzeusowi swe łono niby czarę, którą się spełnia objaty bogom w dniu święta.

* * *

Jeszcze u schyłku starożytności w jednej ze świątyń spartańskich można było oglądać zwieszające się na wstęgach ze środka pułapu duże jaje, przedmiot szczególniejszej czci, szacowną relikwję, zwaną „jajem Ledy".

TAJEMNICA GORSETU



Cienka w pasie „jak osa“ była Kretenka z czasów króla Minosa i Paryżanka lat 90-tych. Nierozsądna ta moda minęła oba razy szczęśliwie, ale, rzecz prosta, nie można nigdy powiedzieć, że nie wróci... W każdym razie dziś jest bardzo daleką od ideału piękna kobiecego.

Nie znaczy to jednak wcale, by obecnie kobiety nie nosiły gorsetu — ujęli się za nim lekarze i krawcy go wymagają, więc po kilku latach powojennej rewolucji, wobec tego głosu higjeny i estetyki, raczej naprzód estetyki, a potem higjeny, znów figurki ujęte są w karby. Tak, lekarze przedewszystkiem. Jakkolwiek dawniej walkę wytoczyli bryklom i potępiali „ściskanie się“... I krawcy, choć każą ciągle nosić suknie bez „wcięcia“ w pasie...

Tylko chodzi o to, jakich gorsetów używać? Dawne pancerze tak są nieznośne, że nawet nazwa ich jest wyrugowana. Nie mówi się: gorset, ale *gaine*, to znaczy futerał, pokrowiec, pochwa.

Robi się go z siatki gumowej, trykotu jedwabnego simili, batystu, skóry cieniutkiej, brokatu lub miękkiej lamy. Zawsze na obstalunek, dostosowany do figury. Zapina się z boków i przodu na guziczki, lub sznuruje, rzadko sznurowadła są też z tyłu. Wobec równej linji, jakiej wymaga dzisiejsza suknia, chodzi o to, by na plecach było jak najmniej spadków i wypukłości, dlatego też tył jest często jednolity, gładki. Niektóre z gumy i trykotu są naprawdę pochwą lub futerałem, bez żadnego zapięcia. Wciąga się je przez głowę lub przez nogi. Bywają z malutkiemi nogawkami, dla osób tęgich, bo lepiej trzyma i zarazem jest nieustającym masażem, który nie pozwala tłuszczowi osiadać pod skórą. Podwiązki, dwie pary silnych, z dobremi klamerkami, utrzymuje *gaine* w miejscu, nie podnosi się, nie kręci, jest jak forma ulana według modelu. Przeważa kolor biały lub złoty, dużo też robi się blado różowych, delikatnie błękitnych, liljowych i rezedowych. Na codzienne noszenie szare i *écru*. Niektóre są tak ślicznie obmyślane, taki mają dobór ozdób, pełne są tak dyskretnej kokieterji, że oko się niemi bawi, jak cackiem. A przytem to specjalnie francuskie umiejętne dostosowanie nazw do każdej rzeczy, nazywają się: Tygrystan, Najada, Sfinks, Kasztelanka, Cud, Zachwycenie. *Gaines* są przeważnie bardzo niskie, więc uzupełnia się je *soutien-gorge*, napierśnikiem, małym puklerzykiem.



Stosuje się go do gorsetu w kolorze, wykończeniu, nie rzadko w materjale. Robi się bowiem z cieniutkiego trykotu, gumy ale także z pięknych koronek, angielskiego haftu. Jest to jakby siatka, która ujmuje pierś tak, by nie czując ucisku mogła być na swym miejscu i swobodnie się obracać. A jednocześnie chodzi o to, żeby zapobiec więdnięciu i zniekształcaniu się piersi. Nie psuje kształtu, o ile jest dobry — poprawi, o ile jest zły.

Czem różni się *gaine* od dawnego gorsetu i dlaczego używanie jej zalecają lekarze, a pochwalają esteci? Różnica leży w tem, że nie ma w niej nic twardego, sztywnego, że jest z materjału podatnego, że nie utrudnia jedzenia, oddychania, trawienia, zmiany póz, nie wpływa na złą cerę, nie ugniata żadnego organu, nie zmienia zasadniczej linji danej osoby, nie krępuje jej ruchów, przeciwnie, sprężystość materjału pomaga w chodzeniu, bieganiu, sportach. Jest a jakby jej nie było — piękność jej i pożytek polega na tajemnicy. Jak wyraziła się jakaś aktorka: „posłuszny, dyskretny wspólnik“.



Trzyma mocno, ale nie niewolniczo. Zachowuje miękkość kształtów, choć ujmuje je w karby „przyzwoistości“. Pozwala zdobyć i utrzymać piękną linję. Nie zabiera nic z płynności kobiecych ruchów, utrzymuje wszystko na właściwem miejscu. Dyskretnie modyfikuje niepoprawność natury. Uszlachetnia i dopuszcza fantazje czasem bardzo śmiałe i daleko idące. Wobec tych zadań, jakie dzisiejsze gorseciarki sobie postawiły, salony ich są naprawdę przybytkiem sztuki i higjeny. Taką jest firma „Parabrée“. (Paris (8e) 12 Rue Tronchet). Niech zresztą jej modele mówią same za siebie. Na zakończenie zdradzę jedną zapewne dla wszystkich pań miłą tajemnicę. Wkrótce w Warszawie będziecie miały Panie autentyczne francuskie gorsety.

A. WELEŻYŃSKA



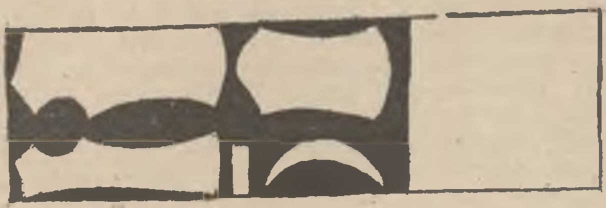
Są środki uleczenia szaleństwa, lecz niema żadnych, by naprawić spaczoną głowę.

Rzetelny mężczyzna może być zakochany jak szaleniec, lecz nie jak głupiec.

KURS SZYCIA I KROJU

II.

Gdy mamy już wypróbowany krój, możemy myśleć o przykrawaniu. Jeśli nie mamy jeszcze materji, możemy najpierw wypróbować ile nam jej trzeba. W tym celu położymy krój



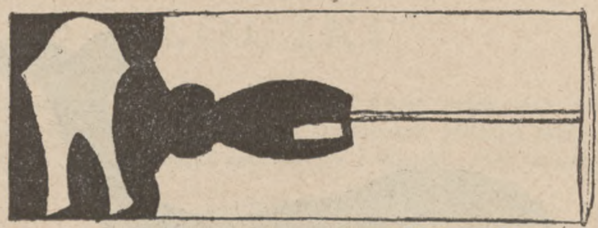
Rys. 9. Oszczędne przykrawanie



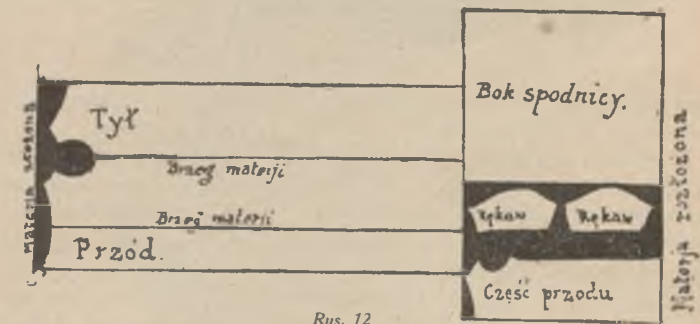
Rys. 10

na jakimkolwiek materjale, który mamy w domu lub w braku tegoż składamy np. prześcieradła w szerokość materji (wełna 140 cm, bawełna 80—100 cm szer.). Teraz układamy krój, starając się kłaść każdą część blisko drugiej, by nie odpadło za wiele drobnych kawałków. Pamiętać należy, że materja składa się zwykle podwójnie, gdyż kroje podają nam połowę danej części (rys. 9). Przy tej sposobności zwrócimy uwagę oszczędnej krawczyni, że materjału gładkiego, bez włosa lub np. podłużnych prążków potrzeba mniej, gdyż można niektóre części krajać poprzecznie. Czasem mamy jakąś materję już dawniej zakupioną i nie możemy dobrać stosownej, gdy jej za mało. Wtedy możemy sobie poradzić, jak pewna sprytna krawczyni. Oto miała $1^1/_2$ m materji szerokości 140 cm. Zdawałoby się, że nawet przy wąskiej modzie niemożliwem jest, żeby wystarczyło! Materja była gładka, a właścicielka średniej tuszy i wzrostu. Przemyślna krawczyni miała wypróbowany krój na stanik i zaczęła go tak długo przykładać, mierząc przytem rozmiary, aż powstała elegancka sukienka (rys. 10).

Rys. 11 uwidocznia nam, jak przyłożono krój. Wyjątkowo złożono materję brzegami przez środek. Spódnica miała więc tylko jeden szew z boku. Przód zacięto od boków do przodu poprzecznie, nadmiar spódniczki przymarszczono w tych miejscach lub ułożono w fałdy i przyszyto do staniczka, a miej-



Rys. 11



Rys. 12

sca przyszycia pokryto materją ozdobioną haftem.

W innym wypadku było tylko 190 cm materji 90 cm szer. Materję złożono w inny sposób, jak zwyczajnie (rys. 12). Gotową suknię przedstawia rys. 13.

Gdy się ma wypróbowany krój stanika, można w powyższy sposób przykładać go do każdej materji a zapomocą centymetra dodać długość spódnicy, jeśli chodzi o jednolitą suknię, w przeciwnym wypadku musimy dodać na szew u dołu stanika i u góry spódnicy. Kto posiada żurnal i trochę fantazji potrafi według tych wskazówek przykroić suknię z najmniejszej ilości materjału. Jednakowoż polecamy, o ile nie chodzi o wielką oszczędność, nie kupować zbyt skąpo materji, gdyż przy przerabianiu dobrze mieć kawałek materji pozostałej.

(ciąg dalszy w numerze 15-tym)



Rys. 13

Dokończenie KURSU ROBÓT RĘCZNYCH (haft gipiurowy czyli „szpachtlowy“) w numerze następnym

PROF. DR MAKS GRUBER:

HIGJENA ŻYCIA PŁCIOWEGO

wydanie polskie 2-gie z 50 wydania niemieckiego. Z 4 tablicami kolorowymi.

„Rozsądek i wiedza, to największa siła człowieka“. W kwestji omówionej w sposób wszechstronny, głęboki a nadzwyczaj jasny przez prof. dr. Grubera potrzebna jest każdemu wiedza, jeżeli chce się ochronić przed nierozsądkiem a często i nieszczęściem. Kto pragnie zachować zdrowie, kto pragnie dochować się zdrowego potomstwa, nie powinien w tej tak ważnej kwestji życiowej błądzić w nieświadomości. Higjena życia płciowego prof. Grubera jest najpoważniejszą i najpożyteczniejszą książką tego rodzaju w literaturze świata. Cena za egzemplarz oprawny 3·— zł. Należytość za tę książkę można dołączyć do czeku za prenumeratę „Świata Kobiecego“. Czytelniczkom „Swiata Kobiecego“ nie liczy się porta przesyłki pocztowej.

ZABAWKI

WIELORYB

Dzieci mają wiele zmysłu dla komizmu. Dlatego powinno się przy sporządzaniu zabawek starać się uchwycić stronę komiczną. Przeważnie widuje się zwierzątka o smutnym wyrazie;

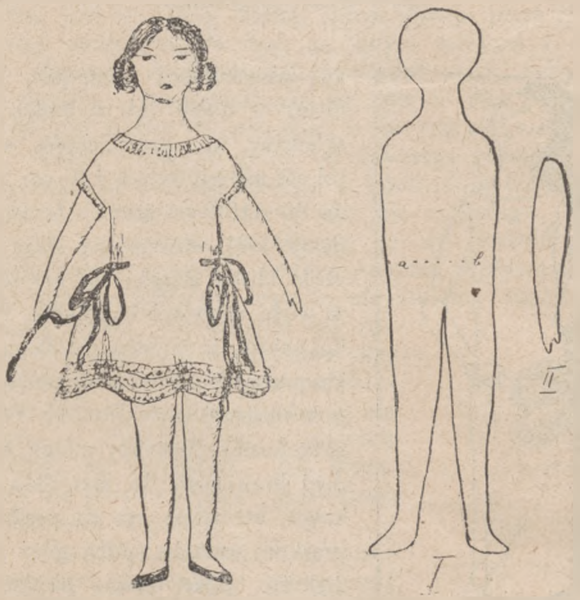


nasz wieloryb uprzejmie uśmiechnięty z pewnością wprawi nasze maleństwa w dobry humor.

Sukno zielonawo-popielate dostarcza materjału. Obie części zszywa się, zostawiając u paszczy otwór na wypchanie trocinami. Otwór ten zszywa się następnie przez wierzch. Podług rysunku haftuje się różową bawełną ściegiem łańcuszkowym paszczę, której kąciki ściąga się, aby utworzyły się dołki. Oczy haftuje się jasno-zieloną bawełną, jak również otwory nosowe, którym dodaje się różowy środek. Fantazyjne pletwy dodaje się dla podpory. (Krój na dodanej tablicy kroju lalek).

LALECZKA Z MATERJI

Nasze najmniejsze dziewczątka chcą tak samo, jak starsze siostrzyczki, bawić się lalką, lecz czyż można im powierzyć te cacka z kruchego materjału? Ale mateczka znajdzie radę na to: z kawałka płótna uszyje tak śliczną laleczkę, że nawet starsza siostrzyczka zazdrościć będzie. Według kroju I przykrawuje się z kremowego płótna 2 części na tułów, dodając na szwy, zszywa i wywraca przez poprzeczny otwór $a-b$ w plecach. Przez ten otwór wypycha się lalkę trocinami. Ramiona II wykrawuje się również z dodatkiem na szwy, wywraca, wypycha i przyszywa do tułowia. Twarzyczkę maluje się na kolor cielisty, rumieńce z cynobru nakłada się na wilgotne jeszcze płótno. Po wyschnięciu maluje się karminowe usteczka i nozdrza, oczy błękitne i bronzowe brwi i rzęsy. Z włóczki żółtej lub bronzowej przyszywa się fryzurę. Pończoszki ze starej pończochy, pantofelki ze starej rękawiczki zdobią nóżki, a sukienka z barwnego materjału z falbankami przystraja naszą laleczkę jaknajpiękniej.



OPIS LALEK NA OKŁADCE

patrz załączony arkusz kroju

Na ostatniej stronie okładki niniejszego numeru podajemy w myśl zapowiedzi wzory strojów ludowych dla lalek. Mamy nadzieję, że odpowie to pragnieniu licznych naszych Czytelniczek zastąpienia przy bożem drzewku bezdusznych tuzinkowych lalek stylowo i swojsko ubranemi. Zrozumiałem jest, że poza stroną „ideową" tego projektu, mieliśmy też na uwadze i kwestję materjalną, aby do ubrania tych lalek dały się zużytkować leżące często w domu bezużyteczne różne kawałki i resztki. Wykonanie staranne podług naszego wzoru uda się napewno i choć nieco trudu zużyje się do tego celu, to błyszczące radością oczy obdarzonych będą dostateczną napewne nagrodą za pracę.

Kroje podane są obliczone na wielkość lalek około 40 *cm* wysokości. Podług wskazówek kursu kroju i szycia, zamieszczonych na innem miejscu, można podane formy odpowiednio i na inne wielkości przystosować. Na wszelki wypadek dobrze jest wprzód poszczególne części stroju z bezużytecznych gałganków lub muślinu skroić i wypróbować na odnośnej lalce.

I tak: górna para przedstawia Krakowiankę i Krakowiaka. Strój Krakowianki składa się z koszulki białej, batystowej u szyji i rękawów obszytej kreską z marszczonej koronki. Na uszycie spódniczki wierzchniej potrzeba około 20 *cm* szerokiego i 70 *cm* długiego kawałka jedwabnej lub wełnianej lekkiej tkaniny w drobne kwiatki. Fartuszek biały batystowy rozmiar 14×20 *cm*, otoczony koroneczką i naszyty barwnemi jedwabnemi wstążeczkami. Główną częścią stroju jest gorset czarny, aksamitny (może być też ciemno-wiśniowy lub bławatkowy, odpowiednio dostosowany do barwy spódnicy). Podług znaków zeszywa się skrojone części nakładając aksamit na muślin. Dół gorsetu wykańczają zęby, osobno krajane i uszyte (zapotrzewkować barwnie). Wszystkie brzegi wypustkowane czerwono przy czarnem lub inaczej, zależnie od barwy materjału. Uszyty gorset otrzymuje z przodu z obu stron dość głęboko wszyte haftki, przez które przewleka się barwną wstążkę do sznurowania, którą kokarda kończy w pasie. Przód, brzegi i plecy zdobią naszyte łuseczkami (na formie punktami oznaczone) i czerwone z przodu małe fontazie. Na szyji kilka sznurów paciorków, na głowie korona z polnych kwiatów, na formie obłożonej złotą lamą naszytych. Wieniec na tyle głowy uzupełnia kokarda a pod nią pęk różnobarwnych drukowanych w charakterystyczne wzory wstążek. Buty z czarnej skóry lub sukna. (Podług znaków zeszytą cholewę ze stopą przyszywa się kryto z lewej strony do podeszwy i potem wkłada wyciętą w formie podeszwy tekturkę, obraca i przez umieszczone na tyle dziurki, na formie oznaczone, przeprowadza lacetkę do sznurowania). Krakowiak ma strój złożony z gładkiej koszuli u szyji i rękawów w proste listewki ujętej, ciemno-bławatkowej, sukiennej, czerwonem wypustkowanej i mosiężnemi guziczkami zapinanej kamizeli, skórzanego, blaszkami naszytego pasa i perkalowych w czerwone i białe paski spodni, białej sukiennej, czerwoną włóczką i fontaziami ozdobionej sukmany. (Podług kroju nacięty materjał u boku wkłada się do środka dla zrobienia fałdu, który z wierzchu przytrzymuje czerwony sznur i fontaż). Sukmanę uzupełnia czerwona sukienna kierezyja, wyszywana łuseczkami i takie same mankiety, oraz czerwona sukienna, czarnem futerkiem (lub pluszem) obszyta rogatywka. U boku czapki pawie pióro i pęk kolorowych wstążek. Buty jak poprzednio. Dolna para przedstawia Hucułkę i Hucuła

Hucułka nosi długą do kostek, z grubego płótna koszulę, ozdobioną haftem krzyżykowym u rękawów i drobnym szlaczkiem u dołu. Za spódnicę i fartuch zarazem służy kawałek ciemnej wełnianej materji we wzór tkanej (teraz takie modne) lub luźnemi ściegami czerwoną, żółtą i białą włóczką wyszytej. (Patrz początki kursu szycia i haftu w „Świecie Kobiecym".) Rozmiar nieco krótszy od koszuli, materja opasuje lekko biodra i otwiera się u boku. Pas barwny tkany (dostać można w handlu). Główną częścią stroju jest „keptar" z białej skóry lub sukna czarnem futerkiem lub włóczką lamowany i podług wzoru kolorowego włóczką wyszyty. Szyję zdobi „gerdan" z paciorków (też podług szkicu) nawlekany, głowę strój z fontazików z czerwonej i zielonej włóczki zrobiony. Tył stroju głowy zamyka pęk wełnianych barwnych tasiemek. Nogi owinięte białem płótnem i obute chodakami z bronzowej skóry lub sukna zrobionemi.

Podług formy skroić, w ząb zeszyć, przez oznaczone nacięcia przeprowadzone tasiemki lub rzemyczki sznurują i umocowują w krzyż na nodze.

Strój Hucuła składa się z koszuli też na piersiach haftowanej, nosi ją na czerwonych sukiennych spodniach i opina skórzanym stębnowanym pasem, keptar jak poprzedni, guńka wierzchnia z bronzowego sukna obszyta czerwoną włóczką. Chodaki jak poprzednie. Ozdobą Hucuła jest kapelusz. Do wykonania go trzeba filcu czerwonego lub grubego niestrzępiącego się sukna.

Znaki na kroju umieszczone wskazują jak go uszyć, kryto starannie drobnemi ściegami na lewej stronie, gotową główkę otacza sznur z barwnej włóczki, zakończony u boku pękiem fontazi. Pod guńką z tyłu zwisa zawieszona przez ramię skórzana torba.

Wszystkie formy na tablicy mają dokładne napisy, odpowiednie znaki wskazują sposób zeszycia, a liczby przynależność poszczególnych form do siebie.

Życzymy udania się roboty i chętnie służymy dalszemi wskazówkami.

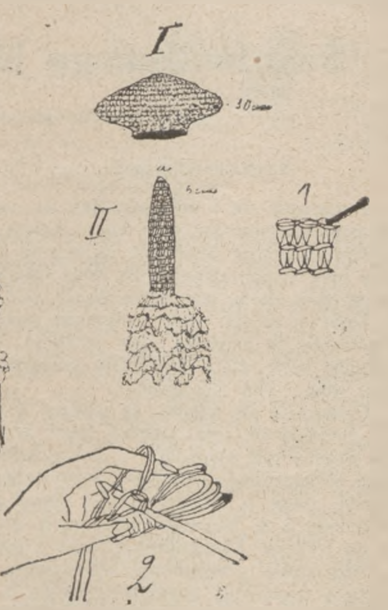
M. G.

CZAPECZKA I BOA Z WŁÓCZKI

Cieplutki i lekki ten garnitur zastępuje doskonale futro dziś tak drogie. Młode twarzyczki uroczo wyglądają z tego puchu, chroniącego od zimna i wiatru, a przytem materjał niedrogi: 23 dkg włóczki karasówki, 18 dkg jedwabiu do szydełkowania oraz szydełko, oto wszystko, czego potrzeba. Robota nadzwyczajnie łatwa. Zaczyna się czterema oczkami w powietrze, które zamyka się w kółko II a. W te oczka wrabia się niskie słupki, dodając potrochę, aż utworzy się rurka o średniej 6 cm, następnie szydełkuje się bez dodania do długości 120 cm. Na końcu odejmuje się znowu i zamyka rurką.

Rurkę robi się z podwójnej włóczki. Robiąc słupki wbija się szydełko tak w spodni słupek, że tworzy się z przodu





brzeżek, rys. 1. Po skończeniu rurki bierze się dwie nitki, jedną wełnianą, drugą jedwabną, umacnia na początku rurki i robi kluczki w następujący sposób: Szydełko wbija się w jedno oczko brzeżka, przewija obydwie nitki przez wskazujący palec lewej ręki, rys. 2, potem umacnia się kluczkę jednem oczkiem. Do każdego oczka brzeżka robi się po 2 kluczki. Gdy wszystkie



kluczki zrobione, łączy się je jedwabiem. Umocniwszy go na jednej kluczce z dwóch nitek, robiąc 5 oczek w powietrzu, w następną kluczkę 1 niski słupek, łącząc w ten sposób wszystkie kluczki, rys. 3. Na końcach daje się jedwabne kutasy, opatrzone w szyjkę z kluczek na tle niskich słupków, o średnicy 6 cm a wysokości 3 cm. Czapeczkę zaczyna się również kółkiem z 4 oczek; z niskich słupków robi się, dodając płaskie koło o średnicy 30 cm, następnie robi się 3 rzędy słupków bez dodawania. Spód czapki robi się, ujmując na 5—6 cm szer. na końcu tworzą 4 rzędy bez odejmowania otwór czapki. Teraz pokrywa się czapkę kluczkami takiemi, jak boa, brzeg z 4 rzędów zagina się bez kluczek do wnętrza i przewleka się gumkę. Garnitur może być także wykonany z samej włóczki, bez jedwabiu, wówczas bierze się na kluczki 2 nitki włóczki, na oczka łączące kluczki jedną nitkę włóczki.

Kwiaty ze sukna jako ozdoba kapelusza

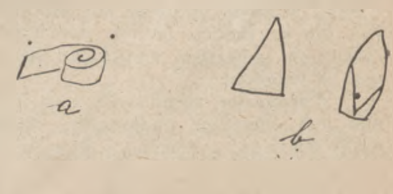
Sukno i skóra, oto materjały, z których nosimy tej jesieni kapelusze sportowe. Materjały trochę surowe, lecz można je ozdobić i odświeżyć kwiatami o żywych kolorach. Rys. I przedstawia kwiat z pomarańczowego sukna o bronzowym środku, przytrzymanym węzełkami z bronzowego jedwabiu do haftu. Liście zielone wykonać można w dowolnej wielkości. Rys. II, to bukiecik kwiatów w różnych kolorach. Kwiatuszki robi się z paska sukna zwiniętego, IIa. Na małym krążku z merli przyszywa się gęsto te kwiatuszki, umieszczając pomiędzy niemi stojące zielone listki z trójkątnych kawałków sukna, IIb.



I



II



a b

SUKIENKA SZYDEŁKOWANA DLA DZIEWCZYNKI

Nie ma nic praktyczniejszego nad szydełkowane sukienki dla dzieci. Przez swoją podatność mogą służyć dłuższy czas bez powiększania, a gdy dziecko wyrosło, można łatwo powiększyć. Sukienki włóczkowe robione na maszynie najczęściej nie dają się pruć i trudno dobrać do nich stosowną włóczkę, dlatego oszczędne matki robią te sukienki chętnie same. Podajemy dziś sukienkę łatwą do wykonania. Według potrzeby bierze się włóczkę cieńszą lub grubszą w dwóch kolorach, większą ilość na sukienkę, mniejszą na urabiany wzór. Poleca się brać dość grube kościane szydełko, gdyż robota powinna być luźno wykonana. Według kroju rys. 2 zaczyna się u dołu łańcuszkiem z oczek, długości odpowiadającej połowie szerokości sukienki. Najlepiej zrobić sobie krój z papieru i pracować podług niego. Ścieg wykonuje się w następujący sposób: Szydełko wbija się w oczko, przewleka i wbija zaraz w sąsiednie oczko i również przewleka. W ten sposób ma się 3 nitki na szydełku, które się razem zbiera, przewlekają przez nie włóczkę, rys. 1. Następnie robi się 1 oczko w powietrzu i powtarza tak cały rząd. Po obróceniu robi się 2 oczka w powietrzu, następnie wbija się szydełko w słupek, przewleka, wbija pod sąsiednie oczko w powietrzu, przewleka i następnie zbiera, 1 oczko w powietrzu i t. d. Po trzech rzędach zaczyna się wzór urabianej włóczki odmiennego koloru. Robi się 3 słupki z jasnej włóczki, następnie 3 z ciemnej. 2 rząd: 2 słupki z jasnej włóczki, 4 z ciemnej i t. d. 3 rząd: 3 z jasnej, 1 z ciemnej,





1 z jasnej, 1 z ciemnej i t. d. 4 rząd: 4 słupki z jasnej, 2 z ciemnej i t. d. Następnie 3 rzędy z jasnej, 1 z ciemnej, wkońcu z jasnej aż do drugiego końca sukni, gdzie się powtarza wzór w odwrotnym porządku. Na przedni otwór i na szyję trzeba robić od *2a* do *b* każdy przód osobno, od *c* do *d* zakańcza się przody a robi nowy łańcuszek na plecy. Do otworu szyi dorabia się po skończeniu prosty kołnierzyk z wzorem, tak samo manszety do rękawów. Do przepasania służy sznur z włóczki.

KWIATY POKOJOWE W ZIMIE

Czas spoczynku roślinności w naturze odnosi się prawie do wszystkich roślin pokojowych, z wyjątkiem zimokwitów, które właśnie teraz pielęgnuje się starannie, aby w zimie cieszyć się ich kwieciem. Kogo stać na to, będzie miał w grudniu hiacynty, w styczniu tulipany i fiołki, w lutym gardenje lub narcyzy, w marcu kamelje, azalje i t. p. Nie dla wszystkich jednak dostępne jest nabycie tych kosztownych roślin, nie w każdem mieszkaniu się udadzą i mało kto umie wyhodować je należycie.

Kardynalną zasadą dla zwykłych kwiatów pokojowych w zimie jest umiejętne podlewanie, dostarczanie powietrza i światła. Im chłodniejszy pokój, w którym stoją kwiaty, tem rzadziej je potrzeba podlewać, tem mniej opadają je mszyce i inne pasożyty. Podczas odwilży można wietrzyć pokój tem oknem, przy którem stoją kwiaty, — gdy mróz, sąsiedniem, uważając, by zimny powiew, a zwłaszcza mroźny wiatr nie uszkodził wątłych liści.

Mirty, heljotropy, szkarlety, araukarje, fiołki alpejskie, róże lubią zimować jasno, chłodno. Oleandry podlewa się bardzo mało, kaktusy jeszcze mniej. Wysychanie ziemi w wazonku, spowodowane większem lub mniejszem napaleniem w piecu, służy jako wskaźnik do podlewania. Młode naszczepki, zwłaszcza sierpniowe, które nawet w zimie nie przestają się dalej rozwijać, potrzebują więcej podlewania. Wszystkim kwiatom potrzebne jest częste skrapianie rozpylaczem, aby liście nie odczuwały suchości opalanego pokoju. W zimie podlewa się i skrapia kwiaty w południe. Rośliny liściaste jak palmy, fikusy, filodendrony etc. trzeba bodaj raz na tydzień obmywać gąbką, wystałą wodą, i to nietylko z prawej strony liści, ale tak samo i z lewej, gdyż tam zwykle pojawia się pasożyt „tarczówka“, wyglądający jak mała, sucha łuska, którą nieraz trudno z liścia zeskrobać.

Kto ma kwitnące chryzantemy i chce, żeby jak najdłużej kwitły, niech je w chłodzie trzyma. Po odkwitnięciu odciąć łodygi wraz z kwiatem, a młode sadzonki, wyrastające z korzenia, hartować stopniowo, żeby były jędrne, niskie, niewybujałe, żeby je można później rozsadzić do osobnych, małych wazonków. Kultura chryzantem stanowi dział specjalny dla amatorów.

Mewa

Marja Wiśniewska

Święta Bożego Narodzenia

szkic literacko-gospodarczy

Kochana Muszko!

Troszczysz się i turbujesz, jak się zabrać do przygotowań przedświątecznych, pragniesz zaś, by te święta Bożego Narodzenia, pierwsze, jakie obchodzić będziecie na nowem swojem gospodarstwie, pozostawiły miłe wspomnienia i dla Was Obojga i dla grona rodziny, którą w swym gościnnym, zasobnym domu, podejmować chcecie

Dobrze, że tak ufnie i otwarcie zwróciłaś się do mnie, bo istotnie potrzeba tu namysłu, gdy nietylko Waszych bliskich zbierze się kilkanaście osób, ale i dla służby przygotować wypada dość do jedzenia, na wilję i oba dni świąt.

Doskonale się składa, że właśnie w tym numerze „Świata Kobiecego“ znajduje się cały rozkład zajęć przedświątecznych na grudzień, aż po dzień wigilji włącznie — i wskazówka, — jak powinno się zestawić tabelkę obliczeniową zakupów i wydatków, zawczasu, co zwłaszcza na prowincji, gdzie o niejedno dłużej starać się trzeba, jest znakomitem ułatwieniem, a w numerze następnym znajdzie się kilka *menu* wigilijnych do wyboru. Zastosujesz z tego u siebie, co Ci dogadza.

Aby zrobić przyjemność Dziadziowi, który tak wiernie i z takim pietyzmem zachowuje wszelkie tradycje, a nadewszystko święta Bożego Narodzenia, nie zapomnij zamówić ładnego snopa zboża, dla postawienia go w kącie jadalni. Pod stołem każesz potrząsnąć trochę drobnego, wonnego siana, które dawniej ścielono i pod obrusem, ale że kieliszki się wywracają i nakrycia nie leżą równo, więc zwyczaj ten zarzucono.

Pamiętaj, by osób przy wilji, tak w pokoju, jak i w kuchni, było do pary, a dla pamięci drogich Zmarłych, kilka nakryć przy tymsamym stole (również do pary), pozostawić...

Lampy, t. j. światła, mają mieć także liczbę parzystą. Opłatki, posmarowane lekko miodem, złączone po 2 razem, leżeć będą na ładnym talerzyku, na stole, w najwidoczniejszem miejscu.

Po wymianie życzeń w pokoju, gdy goście jeszcze wzajemnie winszować sobie będą, idźcie oboje z mężem do kuchni, podzielić się opłatkiem ze służbą, zaczynając od najstarszego wiekiem, dawnego pokojowca dziadzia, który pamięta różne zmienne koleje losu rodziny...

Kilka życzliwych, serdecznych słów, przeznaczonych specjalnie dla każdego, podnosi bardzo nastrój chwili i cieszy ich więcej od upominków, otrzymanych później z drzewka.

Stół dla służby, do wilji, pod Twojem okiem nakryty, niech przyozdobiony będzie również zielenią, a gdy podawanie półmisków „dla państwa“ się skończy, wtedy niech służba sobie swobodnie, „ze swymi gośćmi“ raczy się i weseli.

Przy wetach wyjdź nieznacznie, by w salonie zaświecić drzewko, wróć taksamo, a tymczasem niech ktoś dyskretnym głosem dzwonka zaprosi do obejrzenia choinki, przy której także i służbie pozwólcie się zgromadzić.

Po rozdzieleniu upominków, gdy ucieszona dziatwa ze swymi „skarbami“ rozbiegnie się po pokojach, a służba zadowolona wróci do kuchni, siądź do fortepianu i zagraj „W żłobie leży...“, co gdy dziadzio usłyszy, zaraz swym dźwięcznym basem da hasło do zaintonowania chóralnego śpiewu.

Popłyną później miłe dźwięki naszych drogich pieśni patrjotycznych, tem milsze, że już do wspomnień należą dni niewoli i niedoli!...

Ani się nie spostrzeżesz, kiedy nadejdzie pora zebrania się na „Pasterkę“ do oddalonego Waszego kościółka, o czem Ks. Proboszcz, w Waszem gronie obecny, zebraniu oznajmi.

Bardzo mi żal, że nie będę mogła przyjechać, by uczestniczyć w tej ślicznej uroczystości, która przypomniałaby mi dawno minione, lepsze chwile... ale trudno zostawić chorą Ciocię samą, tak przyzwyczajoną do mej ustawicznej pielęgnacji i opieki.

Nie potrzebuję Ci przypominać o obdarzeniu Twoich biednych lub chorych wieśniaków, bo miałam sposobność przekonać się, że pomimo dobrobytu, który wyziębia zwykle serca zamożnych ludzi, Wy oboje rywalizujecie z sobą w pieczołowitości o los nieszczęśliwych, pokrzywdzonych.

Wspomnę tylko, że z urządzeniem drzewka dla najbiedniejszej dziatwy wiejskiej wstrzymasz się może aż do ostatniej niedzieli po świętach, gdyż zawiele byłoby dla Ciebie trudu zająć się wszystkiem na raz.

Ściskam Was oboje najserdeczniej, Wasza

Henryka



Dobra Gospodyni

Rozkład zajęć przedświątecznych. Wcześnie przed świętami, po obmyśleniu pieczywa, gotowania, przyjęć etc. niech każda z pań domu zestawi sobie małą tabelkę obliczeniową, ile trzeba kupić mąki, cukru, masła, maku, rodzynek, wina, piwa etc., ile jej braknie garnków (glinianych lub kamiennych) do kwaszenia barszczu, na kutję, do przechowania gołąbków, bigosu, fasoli itd. Aby sobie to ułatwić, spisać wszystkie ciasta, torty, całe *menu* wigilijne i świąteczne, a podług tego liczyć, ile wyjdzie cukru, masła, mąki etc. i zawczasu kupić wszystko, a nie będzie bieganiny, rwetesu, posyłania co moment po coś nowego, oszczędzi się dużo kłopotów, a nawet zmartwienia. Mąkę umieścić w ciepłem miejscu, żeby się ogrzała lecz nie naparzyła. Cukier przesiać, orzechy, migdały wcześnie zemleć czy usiekać (wedle przepisu), a nawet zważyć na parę dni przed pieczeniem, póki jest dużo czasu, kładąc na każdym talerzu kartkę, co do czego przeznaczone.

W *1-szym* tygodniu grudnia urządzić wielkie pranie. Ukończyć robótki na gwiazdkę i do ubrania choinki. Kto ma blizkich sercu w Ameryce, wyprawi listy z życzeniami świątecznemi i noworocznemi.

W *2-gim* tygodniu grudnia maglowanie, naprawianie i prasowanie bielizny, założenie firanek w mieszkaniu, uporządkowanem w listopadzie. Czyszczenie sreber, okien, trzepanie dywanów. Zakwasić barszcz.

W *3-cim* tygodniu upiec piernik, drobiazgi na drzewko (obacz przepisy), zrobić cukierki, tort pomadkowy. Listy i kartki rozesłać. Drób, zwierzynę bić, sprawiać.

22/12 drzewko ubrać, 23/12 ryby sprawić, gotować groch, fasolę, kapustę, pszenicę na kutję, mak namoczyć. Piec strucle, makownik, ciastka; indyka, kury, kaczki, buraki do barszczu (lepsze, niż gotowane). Robić farsz do uszek, gołąbki postne, ciasto na strudel. Szatkować i przedenstować jabłka, smażyć bułeczkę, wybrać rodzynki. Auszpiki z ryb pogotować, bakalje przysposobić, kompot z jabłek zrobić. 24/12 rano kuchnia ma być wyszorowana, wyprzątane starannie pokoje. Robić pierogi zapasowe, uszka do barszczu, smażyć rybę. Ułożyć kompoty, upiec strudel. Potranżerować (na zimno) i pochować pieczony drób. Ugotować gołąbki z mięsem, przeznaczone na święta. Przyrządzić rybę na żydowsko. Gołąbki wigilijne można ugotować 22/12. Mogą stać na zimnie, gotowane, a jest ulga w robocie.

Rybę można smażyć rano 24/12. Nic jej nie szkodzi. Robiąc galarety rybne, ugotować i ułożyć ładnie ryby w formach 23/12, a smak, po sklarowaniu żelatyną i białkami, przecedzony przez serwetkę, zostawić w ciepłej kuchni przez noc, w garnku, z kraju, na blasze. Nie zastygnie, a ustoi się ślicznie. Nazajutrz rano zalać wolnym smakiem ryby w formach, będą zulce klarowane jak szkło. M a k utrzeć. Pasztety można piec 23/12. Wszystko, co przeznaczone na dnie świąteczne, schować zimno. Jeżeli wilja ma być na godzinę 7-mą, więc wcześnie nakryć do stołu i zaraz kutję przyrządzać. O 4-tej zapalić pod kuchnią, żeby był czas ugotować uszka, pierogi, przyrządzić barszcz, a ryby smażone, strudel już wpierw upieczony trzymać na parze, aby był gorący i w miarę wilgotny. Sałatę zimną mieszaną do pieczystego, na futro — o ile czas pozwala, w dzień wilji przyrządzić.

Torty, które stać mogą, piecze się 20-go lub 21/12.

Budyń z jaglanej kaszy. Półtorej szklanki kaszy sparzyć gorącą wodą, zamieszać kilka razy, wodę tę odlać, a nalać ciepłej. Wytrzeć kaszę w tej wodzie (rękami), odlać, jeszcze raz wypłukać w zimnej wodzie i dopiero potem nastawić do gotowania, nalawszy ją pół litrem wody z mlekiem (pół na pół). Dać trochę soli i kawałek (jedną łyżkę) masła. Po ugotowaniu wyrzucić na obszerne naczynie, aby szybko ostygła. Pięć łyżek masła zarumienić z drobno usiekaną cebulką (siekanego kopru dodać i trybulki, po zdjęciu już masła z kuchni), wlać masło do makutry, wbić siedm żółtek, rozetrzeć, dodać kaszę i pianę z pozostałych białek, wlać do formy i gotować trzy kwadranse. Jeżeliby się masa okazała za ciężką, to jest za twardą, rozwolnić kilkoma łyżkami kwaśnej śmietany.

Forma wysmarowana masłem i wysypana bułką.

Sos może być ogórkowy lub ze soi, podany osobno w sosjerce, sos kaparowy także się nadaje bardzo.

Pasztet z kartofli (można podać zamiast zupy). Półtora litra kartofli ugotować z mlekiem i solą, po odlaniu przefasować przez sito, lub przepuścić przez maszynkę od mięsa. Zasmażyć pięć łyżek masła z drobno usiekanemi dwiema cebulami, a gdy się zarumienią, wlać do makutry, wsypać siekanej pietruszki zielonej, trybulki i dużo kopru siekanego. Dodać kartofle, rozetrzeć, dodać ćwierć litra kwaśnej śmietany, siedm żółtek, białka zaś ubić na pianę i dodać, wymieszać wszystko razem, dać do wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką rynki, zrównać, obsypać z wierzchu bułeczką, dać na pół godziny do pieca, a gdy się zrumieni, wyrzucić na okrągły półmisek. (Można dodać dwa ząbki tartego czosnku lub jeżeli się posiada w domu soję „cabul“, to dodać jedną łyżeczkę od kawy: nie zaszkodzi dać z pięć trufli drobno usiekanych i smak z tychże do masy). Osobno w sosjerce podać sos ogórkowy, kaparowy lub chrzanowy.

Legumina grysikowa z rodzynkami z pieca. Ugotować na pół litra mleka jedną łyżkę masła, pięć deka grysiku pszennego, (na kipiące mleko sypie się grysik i miesza szybko trzepaczką, dodając masło) po zasypaniu zostawić ten grysik pod nakrywą na kuchni (uważając aby się nie przepalił), przez dziesięć do piętnastu minut, następnie dać do makutry i rozcierać, dodając po jednej, ośm łyżek miałkiego cukru, jakoteż zapachy ze skórki cytrynowej i wanilji. Następnie dodać pięć do sześć żółtek, z białek zaś ubić mocną pianę, wymieszać razem dodając pięć deka sułtańskich rodzynków (obranych i obmytych w ciepłej wodzie) tę wymieszaną masę wlać do wysmarowanej masłem i wysypanej tartą bułeczką rynki lub formy blaszanej i upiec w rurze. Na wydaniu obsypać cukrem i ubrać konfiturami.

Legumina ryżowa z orzechami z pieca. Dwadzieścia deka ryżu sparzyć, odmyć i ugotować na mleku z kawałkiem masła. Obrać orzechy z łup i zemleć na maszynce od migdałów tyle, aby po utarciu i przesianiu była jedna filiżanka. Ryż wyłożyć do makutry, trzeć wałkiem z siedmioma żółtkami, dosypać piętnaście deka cukru, zapach wanilji i cytryny, dodać orzechy. Ubić pianę z pozostałych białek, wymieszać wszystko razem i upiec w wysmarowanej masłem i wysypanej bułką rynce. Na wydaniu pokrajać i ubrać konfiturami.

Kartofle faszerowane. Wybrać dwadzieścia ładnych, dużych, równych kartofli, obmyć w dwóch wodach, osolić a po kwadransie solenia wsadzić na blasze z łupami do pieca lub rury (szabaśnika). Osobno ugotować z pięć kartofli obranych z łup, osolonych. Gdy się kartofle już upiekły, wyjąć, pościnać z jednego końca, wybrać łyżeczką wszystek miąższ, zmieszać z gotowanemi kartoflami i przefasować przez sito. Ugotować kilka obmytych grzybków suszonych z solą, przepuścić przez maszynę dwa razy. Zarumienić trzy łyżki masła z jedną drobno usiekaną cebulą, wlać do makutry, dodać grzybki, dużo zielonego kopru siekanego i pietruszki, dwa ząbki czosnku i trochę szatkowanej trybulki. Wbić trzy do czterech całych jaj, rozetrzeć wszystko razem, dodać kartofle przefasowane, wymieszać razem, osolić do smaku i nałożyć tym farszem łupy z pieczonych kartofli, pozakrywać napowrót wierzchami, tak jak były poprzednio, wsadzić ponownie do pieca (na blaszce) na kwandrans, po upływie tego czasu wyjąć, ułożyć w serwecie i podać do stołu. Do tych kartofli podaje się jakąś sałatę, może być nawet biała.

Babeczki kongresowe. Zagnieść ciasto na stolnicy z 75 deka mąki, 50 deka masła, dwóch całych jaj, trzydzieści deka cukru z zapachem wanilji, skórką cytrynową i kieliszkiem rumu. Ciastem tym wykładać karbowane foremki małe. W środek nakładać następującą masę: 25 deka obranych z łup migdałów, zmieszać z 50 dekami miałkiego cukru i trzema białkami, przepuścić to przez maszynkę od mięsa dwa razy, dodać do tej masy jeszcze trzy białka, wyrobić i nakładać po dwie łyżeczki tej masy do każdej foremki. Skropić z wierzchu wodą i piec przez pół godziny. Po wyjęciu z pieca, gdy przestygną, zgrabnie wyrzucić na rękę i układać na płytkim półmisku, na którym powinna być złożona w kwadrat biała serwetka.

Ratafja naprędce. 2 litry spirytusu, pół litra soku wiśniowego, wymieszać dobrze w gąsiorku, wsypać 10 goździków i 10 pestek, wybranych z potłuczonych dobrze suszonych śliwek, z których samo jądro czyli ziarnko się używa. Postawić w ciepłem miejscu, a za tydzień można używać.

Kruszon. Przysposabia się bardzo prostym sposobem. Cwierć f. cukru obetrzeć o dwie pomarańcze i o jedną dużą cytrynę. Pomarańcze pokrajać w plasterki, odrzucając pestki, każdy plasterek przepołowić. Cukier włożyć w wazę. Oprócz tego wsypać dwie łyżki miałkiego cukru włożyć pomarańcze, jeżeli kto ma i chce, włożyć łyżkę smażonych trus-

FIRMA
ANTONI UWIERA
poleca w olbrzymim wyborze ostatnie nowości w jedwabiach, wełnach na kostjumy, suknie i bluzki damskie
towar tylko doborowy, ceny umiarkowane
LWÓW — ULICA HALICKA L. 10
237

kawek, lub ananasów, (żadnych innych konfitur nie można, oprócz ananasów i truskawek). Nalać na to dwie butelki wina reńskiego „Mozel", lub białego francuskiego lekkiego. Wymieszać doskonale, żeby się cukier w kawałkach ocierany o pomarańcze rozpuścił i podawać w szklankach, ciągle mieszając aby wszędzie był równy. Dla pań można dolewać odrazu dwie szklanki przegotowanej wody.

Obiady jarskie:

1. Ryż na smaku grzybowym.
   Kapusta włoska faszerowana, makaron włoski.
   Sałata z oliwą.
   Kompot z gruszek i rzewienia.
   Mleczko migdałowe.
2. Zupa szczawiowa, grzanki.
   Marchewka z groszkiem, omlet francuski.
   Sałata z oliwą.
   Kompot z renklod, torcik.
3. Budyń z jaglanej kaszy, sos cebulowy.
   Harbuz z pomidorami, opiekanki z kartofli.
   Sałata z oliwą.
   Kompot z renklod i winogron.
   Torcik neapolitański.
4. Zupa grzybowa, kluseczki francuskie z grysiku.
   Fasolka szparagowa, jaja z sosem holenderskim.
   Sałata z oliwą.
   Kompot z jabłek.
   Suflet malinowy.

Sos rumiany do ryb „Genèvoise". Ugotować na smaku z ryb trochę poszatkowanej jarzyny (marchew, pietruszkę, seler, kalarepkę, i ze dwa kartofle), cebulę drobno posiekaną zasmarzyć na rumiano z łyżką masła, rozprowadzić smakiem z jarzyn, zmieszać razem z jarzynami, przefasować przez sito, posolić, dać trochę pieprzu, wlać kieliszek czerwonego wina, zagotować i podać do gotowanych ryb, jak sandacza, szczupaka, karpia lub leszcza.

POGADANKI KOSMETYCZNE

NAPARZANIA TWARZY

Do bardzo częstych zapytań Czytelniczek naszych należy kwestja stosowania parówki na twarz. W pogadankach kosmetycznych, podawanych w poprzednich zeszytach „Świata Kobiecego" omówiliśmy wpływ wody na skórę suchą czy tłustą. Otóż działanie kąpieli parowych da się porównać z działaniem wody gorącej, bardzo korzystnem dla skóry zdrowej, tak jak łaźnia parowa jest przyjemnym i dobrym środkiem oczyszczania skóry i pielęgnowania jej dla człowieka zdrowego. Nie możemy natomiast polecić parówki dla twarzy o skórze chorej lub zbyt wrażliwej.

Gorąca para wodna rozszerza pory skórne i wywołuje chwilowy przypływ krwi do skóry. Są osoby, robiące właśnie wówczas plastyczny masaż twarzy i ugniatujące rozmiękłą rozparzoną skórę w rozmaitych kierunkach. O ile wogóle używamy masażu, jako środka kosmetycznego, należy przestrzec przed stosowaniem go w ten właśnie sposób. Prawda, że parówka i masaż na razie odświeżają zwiędłą twarz, że na przeciąg paru godzin, np. na bal, kobieta wygląda młodziej, zmarszczki znikają. Niebawem jednak ukazują się zgubne skutki tego zabiegu, muskuły wiotczeją, zmarszczki zjawiają się gromadnie. Pamiętajmy więc, by najpierw masować twarz dobrze natłuszczoną, a potem dopiero poddać parówce. To pierwsza zasada.

Często lekarz zaleca parówkę przeciwko rozmaitym chorobom skórnym, na pozbycie się wągrów, rozmiękczanie naskórka itd. Wówczas trzymajmy się ściśle jego wskazówek. Należy jednak przy parówkach zachować wielką ostrożność, albowiem przy kąpielach parowych twarzy, występują często zapalenia skóry, a stan wielu chorób skórnych, będących przyczyną niezdrowej, brzydkiej cery, stanowczo pogarsza się jeszcze pod wpływem działania pary na twarz.

Osoby zupełnie zdrowe mogą używać parówki twarzy od czasu do czasu jako wcale dobry środek do odświeżania, oczyszczania i pielęgnowania skóry. Po parówce — niezbyt gorącej, by nie oparzyła twarzy — należy spryskać i obmyć twarz wodą zimną, by pozamykać pory; już to samo jest bardzo dobrym masażem naczyń krwionośnych skóry. Ale naogół trzeba z zabiegiem tym być ostrożną, gdyż zbyt częste używanie parówki wydelikaca zanadto skórę i czyni ją bardzo wrażliwą na zmiany atmosferyczne. *Alfa*

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Redakcja udziela porad w sprawach kosmetycznych i gospodarskich i w kwestjach sztuki indywidualnego ubierania się.

Na koszta odpowiedzi prosimy nadsyłać 20 gr. W miarę możności prosimy podawać swój adres.

Złotowłosej. Obszernie omówiono kurację przeciw łupieżowi w nr. 12 z r. 1922 naszego pisma. Za nadesłaniem 1 zł. prześlemy Pani kopję artykułu, gdyż numer jest wyczerpany.

Julji M. Jeżeli nie udało się wytępić karaluchów (szwaby) boraksem, (który należało proszkowany pomieszać z miałkim cukrem i wysypać nim kąty i naokoło ogniska), radzimy stawiać w kuchni na noc miskę z piwem i oprzeć ją bokiem o ścianę, by ułatwić owadom dostęp. Potopi się ich moc. Istnieją również t. zw. „łapki djabelskie" do nabycia w większych handlach naczyń kuchennych. Można użyć także zacherlinu pomieszanego z boraksem, ale i ten środek niezawsze bywa radykalny. Natomiast najradykalniejszym tępicielem jest jeż, który w krótkim czasie przepłoszy całe robactwo, jeśli go się na noc w kuchni zostawiać będzie.

Kazimiera W. we Lwowie. Dawno to już przebrzmiały przesąd, że blondynkom źle jest w odzieniach koloru żółtego. Jeżeli więc Pani ma taką szaloną ochotę na wieczorową suknię koloru cytrynowego, to pozbyć się uprzedzenia i odważyć się na ten ryzykowny krok. Tylko pamiętać o niezbędnych warunkach:

1) przymierzyć materję przed lustrem przy wieczornem świetle i obnażonych ramionach;
2) wybrać materjał dobrze lśniący;
3) mieć świeżutką różaną cerę.

Annie W. z Grudziądza. Jak zrobić czapeczkę lub zawój ze starych, małych kawałków jedwabiu zapytuje Pani. Przedewszystkiem wyczyścić starannie i wyprasować, potem wyrównać nożyczkami brzegi kawałków i pozszywać na maszynie bez względu na bieg nitki. Potrzebny jest kawałek materji szerokości 50—60 cm, a długości 30 cm. Następnie narysować lub dać wybić możliwie gęsty wzór, który kryłby dobrze sztukowanie, i wyszyć jedwabiem lub harasówką, ściegiem płaskim albo łańcuszkowym, w kilku żywych kolorach, harmonizujących ze sobą. Czy to ma być czapeczka, czy też zawój, zależeć musi od tego, w czem Pani więcej do twarzy. Buziom okrągłym, pełnym, lepiej jest w czapeczkach i berecikach wszelakich, natomiast owale wązkie i szczupłe nadają się prędzej do zawojów i turbanów.

TREŚĆ NUMERU 13:

BACZNOŚĆ! BACZNOŚĆ!

ZAGADKA REKLAMOWA

Celem rozbudzenia naszego przemysłu i handlu, który ostatnimi czasy zapadł w stan t. zw. „śpiączki stagnacyjnej“ i wyleczyć się z niej nie może — przy pomocy wszystkich czytelników pisma niniejszego organizujemy radykalną akcję ratunkową, urządzamy **wysprzedaż towarów po cenach fabrycznych,** za poprzedniem nadesłaniem zł. **4•—,** za którą to sumę prześlemy zamawiającemu pocztą do domu (franco) następujące towary: 1) paczkę papieru listowego z kopertami; 2) 10 pocztówek artystycznych (w tem świąteczne i noworoczne); 3) notes; 4) pióro z ołówkiem (automat) i 5) paczkę sekretników; prócz tego każdy, kto nadeśle rozwiązanie niżej podanej zagadki, będzie miał możność otrzymania jednej z niżej wyszczególnionych nagród:

— ny — ków — ro — rzo — Ka — ku — w —
— zbu — ża — lisz — 1914 — krzy — przez —

Odpowiednio złożone sylaby oznaczają pierwsze zniszczone miasto w Polsce w pierwszych dniach wojny światowej przez Niemców.

NAGRODY JAKO PODAREK

NA GWIAZDKĘ!

1	luksusowy samochód „Forda“	Zł.	5,000
4	motocykle („Indian“ i „Rex“)	„	10.000
20	rowerów damskich i męskich	„	4.000
20	maszyn do szycia	„	4.000
3	pianina salonowe pierwszorzędnych fabryk	„	9.000
20	zegarków złotych męskich i damskich	„	6.000
10	serwisów obiadowych porcelanowych po 130 szt. każdy	„	4.000
10	kompletów noży, widelców, łyżek i łyżeczek platerowanych po 12 szt. każdego	„	2.000
2	skrzynie plater stołowy firmy „Fraget“	„	5.000
30	kompletów garnków z pokrywami aluminiowych po 5 szt. każdy	„	1.500
100	sztuczek płótna białego „Żyrardowskiego“	„	4.000
60	kompletów materjału wełnianego na kostjum damski	„	4.500
60	kompletów materjału wełnianego na całe ubranie męskie	„	4.500
3	komplety mebli do stołowego pokoju	„	9.000
3	„ „ „ sypialnego „	„	9.000
300	abonamentów rocznych wykwintnego artyst. pisma ilustrowanego „Światowid“	„	12.000

WARUNKI

1. Rozwiązanie powyższej zagadki należy nadesłać w frankowanej kopercie z dołączeniem **4 złotych do 30 listopada 1924 r. pod naszym adresem: Stanisław Rappak, Kalisz, Wrocławska 28, skład papieru. Należność 4 zł. można również przekazać na konto czekowe P. K. O. w Warszawie Nr 630-78,** wypisując na odcinku blankietu nadawczego rozwiązanie zagadki.
2. Podział nagród nastąpi w przeciągu 2-ch tygodni po zamknięciu konkursu przez specjalny komitet i pod ścisłą kontrolą Notarjusza, urzędującego przy Sądzie Okr. w Kaliszu, podział ten będzie ostateczny i wyklucza drogę prawną, jako dobrowolny podarunek.
3. Termin ostateczny nadsyłania rozwiązania upływa z dniem 30 listopada 1924 r.
4. Powyższe nagrody odnoszą się do 200.000 uczestników i wzrosną odpowiednio przy większej liczbie lub też przeciwnie. 247

Przegląd wydawnictw

Zdjęcia uroczystości Sienkiewiczowskich w Szwajcarji, Pradze, Dziedzicach, Warszawie i Krakowie. Walący się kopiec Kościuszki. Rumuńska para królewska na otwarciu parlamentu. Ostatnie nowości mody i wiele innych niezwykle ciekawych zdjęć przynosi ostatni numer „NOWOŚCI ILUSTROWANYCH“. Adres Redakcji i Administracji: **Kraków, ulica Kazimierza Wielkiego l. 95**



PASTA **HEZADONT** I ELIKSIR
chronią jamę ustną i zęby od zakażenia
KREM **MIAFLOR** I PUDER
ściśle higjeniczne
Wystrzegać się falsyfikatów!
HENRYK ŻAK — POZNAŃ
FABRYKA PERFUM I KOSMETYKÓW
246 itd.

BACZNOŚĆ! "LUBA" BACZNOŚĆ!

LUBOMIN (mączka kukurydzowa), BUDYNIE różnych smaków, PROSZEK do pieczywa (drożdżowy), CUKIER waniljowy i cytrynowy,

są najlepszymi artykułami wyrobu krajowego. Żądajcie wszędzie!

Do nabycia nieomal we wszystkich składach spożywczych i drogeryjnych

Przedstawicielstwo na Małopolskę Wschodnią powierzyliśmy firmie

T. NOWOSIELSKI WE LWOWIE, SUPIŃSKIEGO 9 13 itd.

LUBOŃSKA FABRYKA DROŻDŻY DAWNIEJ G. SINNER — TOW. AKCYJNE LUBOŃ—POZNAŃ

EAU de COLOGNE

Przemysławka

SKONCENTROWANA

HENRYK ŻAK

POZNAŃ

245 itd.

MASZYNY DO SZYCIA

NAJNOWSZYCH SYSTEMÓW, CZĘŚCI SKŁADOWE TYCHŻE, PRZYBORY DO KRAWIECZYZNY I DO ROBÓT RĘCZNYCH — POLECA



218—7—12

ALEKSANDER MALIMON

SKŁAD MASZYN DO SZYCIA

LWÓW, UL. WAŁOWA 11 A

PRZYJMUJE RÓWNIEŻ MASZYNY DO NAPRAWY

MAGAZYN I PRACOWNIA FUTER

W. SICHLERA

(SYNOWIE)

LWÓW, PL. HALICKI 14

PRZYJMUJE WSZELKIE ROBOTY KUŚNIERSKIE

PO CENACH UMIARKOWANYCH

NIEZWYKLE TANIA

MAŁA SZKOLNA

MAPA POLSKI

DRA A. TOMASZEWSKIEGO

Nakład Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego

Powinno ją posiadać każde dziecko szkolne

ZAKŁAD HAFTÓW I PLISOWANIA

F. INGBERA

LWÓW, ul. HALICKA 1 (I. p.)

WYKONUJE 238

HAFTY MASZYNOWE I RĘCZNE, MEREŻKI RÓŻNEGO RODZAJU, PLISOWANIE, OBCIĄGANIE GUZIKÓW I DEKATEZOWANIE MATERJAŁÓW

Polecamy gorąco naszym Czytelniczkom znakomitą pracę dr. T. i J. Jaroszyńskich pod tytułem:

„BŁĘDY W WYCHOWANIU DZIECI"

W krótkiej tej broszurce każda rozsądna matka znajdzie odpowiedź na wszelkie dręczące ją kwestje wychowawcze.

Wysyła Księgarnia Polska we Lwowie za nadesłaniem 60 gr.

KAWĘ PALONĄ

w najprzedniejszych gatunkach

poleca

EDMUND RIEDL

Lwów, Rutowskiego 3

JEDWABIE, FULARY, AKSAMITY, MARKIZETY, OPALE, MATERJAŁY WEŁNIANE I T. D.

T. FUHRMANN

LWÓW, SKARBKOWSKA 23 I p.

KOMPLETNE WYPRAWY ŚLUBNE

STALE NA SKŁADZIE

Wydawca: Bernard Połoniecki — Lwów. Odpow. Red. A. W. Bednarski. Adres Redakcji i Admin.: Lwów, ul. Chorążczyzna 27

Skład Redakcji: **Janina Łada-Walicka, Wanda Tomaszewska.** Roboty ręczne: **M. Geszwindowa**

Drukarnia Zakładu Narodowego im. Ossolińskich pod zarządem A. Wierzbickiego